RUSAŁKA

STEFAN KRZYWOSZEWSKI

RUSAŁKA

ZBIÓR NOWEL



Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie
1905

Z drukarni »Czasu« w Krakowie
pod zarządem A. Swierzyńskiego.

RUSAŁKA.

FANTAZYA.

Czerwcowe słońce napełniało obszerne komnaty starego dworu światłością i weselem. Przez rozwarte okna szły świeże wonie kwiatów i ziół, szły radosne odgłosy niedzielnego życia wioski, echa śpiewów, wołań i śmiechów.

Pan Tomasz czuł się raźniejszym i silniejszym; po długich dniach milczącego przygnębienia zstępowała nań nowa ochota do życia. Po raz pierwszy od wielu tygodni zjadał śniadanie ze smakiem, wypił parę kieliszków wina, na pytania Andrzejowej odpowiadał krótko, ale z uśmiechem. Stara niańka, dziś wszechwładna gospodyni, była tak uszczęśliwiona, że w siwych jej oczach połyskiwały łzy. Wpadłszy w kredensie na ogrodnika, szepnęła, nie tając radości:

— Będzie zdrów! Zjadł dwa jajka i befsztyk. Teraz chce kawy. I patrzy inaczej... Jak mi Bóg miły, będzie zdrów!

Kajetan, wysoki i chudy, w czarnym odświętnym stroju, mający pozór raczej sługi kościelnego, niż dawnego żołnierza, towarzysza przygód starego dziedzica, nie rozmraczając wiecznie zachmurzonego czoła, mruknął półgłosem:

— Pójdę się pokłonić...

— Zaraz, zaraz — odparła żywo Andrzejowa — niech skończy śniadanie.

I, krzątając się przy maszynce od kawy, mówiła w dalszym ciągu:

— Jak był chory, nieboszczka pani ukazywała mi się co noc, biała i smutna, łamała ręce nademną i wołała: »Coście uczynili z synem moim? Andrzejowo pilnuj Tomka!« Aże w nocy się zrywałam i biegłam do panicza, czy przytomny, czy czego nie potrzebuje. Teraz już pani nie nagabuje mnie, rada zapewne, iż paniczowi zdrowie wraca.

— Sen mara, Bóg wiara — odezwał się poważnie ogrodnik.

— A gdy jął przychodzić do zdrowia, cichy był i słodki, niby małe dziecko. Że od czytania bolały go oczy, kazał sobie opowiadać stare bajki, jak niegdyś w chłopięcych latach. I słuchał, i uśmiechał się, mówiąc: — Andrzejowo, te historye odmładzają nas o dwadzieścia lat... — Bo wówczas wieczorami spokoju nie dawał, tylko prosił: — Dzisiaj Andrzejowa musi mi opowiedzieć ładną bajkę...

Kajetan kiwał głową w milczeniu.

Wypiwszy kawę, pan Tomasz powstał od stołu i zbliżył się do roztwartego okna. Zaczerpnął z rozkoszą powietrza, skrzyżował ręce na piersiach i począł wpatrywać się w czysty lazur nieba.

— Pójdę przejść się — rzekł po chwili pan Tomasz, więcej do siebie, niż do Andrzejowej, która kręciła się wciąż koło stołu.

— Kajetan pójdzie z paniczem. Właśnie czeka w kredensie.

— Nie, nie — oburzył się pan Tomasz — pójdę sam.

— Kiedy nie możemy puścić panicza samego! Jeszcze zbyt słaby! Kajetan...

— Nie chcę Kajetana, nie chcę nikogo — odparł pan Tomasz, w jego głosie dźwięczał taki upór i rozkapryszenie, że Andrzejowa zamilkła. Jemu zrobiło się przykro na myśl, że mógł ją dotknąć i dodał łagodniej:

— Nie będę się oddalał od dworu. Przejdę raz przez ogródek i usiądę na tarasie nowego pałacu. Niech mi Andrzejowa każe zanieść tam fotel.

Uśmiechnął się lekko do Andrzejowej, wziął kapelusz i wyszedł. Na ganeczku, osłoniętym dzikiem winem, przystanął, objął wzrokiem wielki, zieloną murawą poszyty dziedziniec i skręcił na prawo, ku furtce, wiodącej do sadu. Dziwił się teraz sam, skąd mu przyszło do głowy urządzać siestę wśród nienawistnych ruin spalonego gmachu, których widoku nawet podczas przechadzek unikał. Był jednak zbyt leniwym, by zmienić postanowienie; przytem czuł się spokojniejszym i pragnął udowodnić samemu sobie, iż dawne rany zagoiły się, że wyzdrowiał nietylko fizycznie, lecz i moralnie.

Zresztą nie myślał o tem dłużej, bo uwagę jego pochłonął ogród, cały skąpany w złocistej powodzi światła. Nie wstępując w ciemną aleję grabową, która biegła ku dzikiej części parku, łączącej się na krańcach z lasem, poszedł małą uliczką, obramowaną krzewami agrestu i porzeczek. Opodal, na rozległych trawnikach, upstrzonych kwieciem wszystkich barw, wygrzewały się w słońcu stare grusze i jabłonie, to znów ściślej skupione gaje wiśni i czereśni. Z pośród zaliścionych gałęzi dzwonił wesoły świergot ptactwa, z traw i ziół szło radosne brzęczenie muszek i owadów. Pan Tomasz widział, że ogród żyje, że w każdej jego cząstce pulsuje czynne i ochocze życie; ucho jego, wypoczęte wśród samotnej ciszy, chwytało tysiączne pojedyncze szmery i dźwięki, odszukiwało w nich harmonijną melodyę, której echa potężniały w duszy, rozsadzały pierś rzewnością i weselem. Rozumiał, że to uczucie zado-

wolenia i szczęśliwości płynie z wrażeń zewnętrznych i spoglądał z wdzięcznością, prawie z rozczuleniem, w około siebie.

— Wracacie mi pokój duszy i zlewacie słodycz do serca — mówił jego wzrok, którym obejmował drzewa, krzewy i kwiaty. — Jesteście mi blizkie i pragnąłbym zjednoczyć się z waszem życiem, cierpieć waszemi troskami, tak jak cieszę się teraz waszą radością...

Pan Tomasz miał chęć zejść na dół, aż do stawu, nad którym pławiły się zawsze jaskółki. Lecz w nogach począł doznawać ciężkości, w karku jął mu dokuczać ból. Postanowił iść na taras spalonego pałacu i uśmiechnął się zawczasu na myśl, jak siedząc w miękkim, wygodnym fotelu, będzie mógł okiem sięgnąć jeszcze dalej, aż do aryańskich grobów, co zamykają jeden węgieł ogrodu swemi kopcami, zakrzewionemi leszczyną i głogiem. Przyspieszył kroku, opuścił sad i krętemi uliczkami, wśród starych kasztanów, świerków i modrzewi, przedostał się do szerokiego, niby kawał łąki, trawnika, który zielonym, miękkim dywanem rozłożył się u stóp poczerniałych zwalisk.

Pożar oszczędził szeroki taras, osmaliwszy tylko zlekka nizką balustradę o wdzięcznych, barokowych liniach. Lecz dalej zaraz sterczały wyzębione, czerwonawe mury bez tynku, różnej wysokości, odarte z dachu, o bezkształtnie rozszerzonych oknach i drzwiach, których drewniane framugi ogień wyżarł.

Przy otłuczonych tarasowych schodach stał Kajetan. Wskazał dłonią na wysoki, safianem kryty fotel, który przyniósł ze starego dworu, i zapytał:

— Gdzie panicz każe postawić?

— Na tarasie.

— Na tarasie spalonego pałacu?...

W tych wolno i dobitne wypowiedzianych słowach dźwięczało zdziwienie i żal; pan Tomasz mimo woli

zwrócił ku niemu swe oczy, spojrzenia ich skrzyżowały się, i młody dziedzic opuścił źrenice, a po bladej jego twarzy przemknął lekki rumieniec.

— Tak — odrzekł z niecierpliwością — na tarasie. I Kajetan może odejść, pragnę zostać sam.

Ogrodnik wniósł w milczeniu fotel, umieścił go w słonecznem miejscu; potem zatrzymał się, i posmutniały, niepewny, szukał przez chwilę oczu pana Tomasza. Ten wszakże umyślnie odwrócił się, jakby zapominając o obecności starego sługi. Kajetan skłonił się, i zniknął za gęstym klombem bzów.

Pan Tomasz odetchnął swobodniej. Już dawno odgadł, iż stary ordynans ojca zna tajemnicę tego pożaru i w jego oczach spostrzegał niedomówione wyrzuty, które przypominały mu okrutną chwilę szaleństwa, odnawiały ból, drażniły nerwy nieznośnem wspomnieniem.

... Ów dzień zimowy, jasny i mroźny, daleka równina zasłana śniegiem, sanki suną chyżo wśród raźnego dzwonienia janczarek, konie parskają wesoło... Choć wiedział, że niezadługo jego losy miały się rozstrzygnąć, jechał pełen otuchy i wołał na woźnicę, by pospieszał. Pilno mu było do szczęścia, w które ufał. Bo choć jej rodzice byli dumni i wyniośli, i zabiegów zwykłego szlachcica nie zdawali się brać na seryo, ani nawet postrzegać, jej przecie pewnym był zupełnie. Jej wola, jej miłość, przemogą opór rodziców, którzy nie zechcą być katami umiłowanej jedynaczki. Serce mu rosło na wspomnienie jej słodkich, powłóczystych spojrzeń, lekkich uścisków dłoni, słów urywanych, krótkich, a tyle mówiących! Jak uśmiechała się rozkosznie, gdy jej opowiadał o nowym dworze, który wznosi dla swej wybranej, który stoi już pod dachem i za parę miesięcy, wczesną wiosną, gotów będzie przyjąć ukochaną... I w kilka godzin potem, co za otchłań bolu, rozczarowania, nędzy! Kiedy wrócił późnym zmierzchem do do-

mu, szał palił mu się w mózgu. Biegał po pokoju, tłumiąc ryk, który mu się wydzierał z piersi. Zatrzymał się na chwilę przed oknem i w drżącem świetle księżyca ujrzał nagle kontury nowego pałacu, nowego pałacu, który miał być uroczem schronieniem ich miłości. Porwała go bezprzytomna wściekłość...

Gdy skradał się z powrotem przez ogród do starego domu, przy chacie ogrodnika pies jął gwałtownie szczekać, dał się słyszeć zgrzyt otwieranych drzwi... A nazajutrz, kiedy gubiono się w domysłach, z jakiego powodu mógł powstać ogień, który zniszczył w ciągu nocy świeżo wzniesiony gmach, pan Tomasz czuł na sobie przenikliwy, smutny wzrok starego Kajetana. On jeden nie mówił nic, nie szukał przyczyn pożaru... Potem przyszła ciężka choroba, która zwaliła pana Tomasza do łóżka na długie miesiące.

* * *

Pan Tomasz usiadł w fotelu, rozparł się wygodnie i zapalił papierosa. Sam się dziwił spokojowi i uciszeniu, jakie czuł w duszy. Spalony dwór nie jątrzył już rany, która się zasklepiła. W szczelinach, między rozsadzonemi cegłami, widział gdzieniegdzie trawkę zieloną, co na spędzonej przez wiatr kurzawie, pod wpływem wiosennych deszczów, wśród zwalisk nowe życie zwiastowała.

— Moc czasu i potęga życia — myślał — ukoiły mi serce i pod zagojonemi bliznami tętni świeża krew. Budzą się nowe pragnienia i nadzieje.

I zaraz uśmiechnął się gorzko. Nowe pragnienia i nadzieje! Byłoż tak w istocie? Zdawał sobie sprawę, że nie zupełnie. Bolesny zawód złamał jego siły duchowe; nie czuł się dość mocnym, by stanąć napowrót do walki. Jestem podobny w tem do matki, która po strasznym zgonie ojca zamknęła się sama w sobie, żyła

pustelniczo, zdala od świata i ludzi. Ale różnica tkwi w tem, że matka miała wspomnienie dobrych dni, przeżytych z ojcem i w samotności mogła je przetrawiać, mogła niemi karmić te ludzkie pierwiastki, które domagają się szczęścia. Moje wspomnienia to trucizna, która rozpala dawny ból.

W ogrodzie, który okalał taras i ruiny, panowała niezmącona błogość. W dalekiej wsi gwary i odgłosy zamilkły. Pan Tomasz podniósł oczy i jął wpatrywać się w lazur nieba, zrzadka przetykany białą pajęczyną pierzastych obłoków. Coraz dokładniej rozróżniał wszystkie dźwięki i szmery, któremi park oddychał, przez które objawiało się życie rozpromienionej słońcem przyrody. Do piersi zlewała się dziwnie rzewna tęsknota, z którą mu było nieskończenie dobrze. Słodycz powietrza odurzała go i rozmarzała. Wreszcie opuścił ciężkie powieki...

* * *

... Szedł po miękkim trawniku sadu, w cieniu gęstych gruszy, śliw i jabłoni, szedł z sercem swobodnem, myślą wesołą, tak lekko, jak gdyby u ramion skrzydła mu wyrosły. Słoneczna jasność złociła radośnie wierzchołki niedalekich wysokopiennych świerków i modrzewi, zaglądała pod wstydliwie opuszczone gałęzie brzóz, muskała drżącemi blaski świeżą ruń odrodzonej murawy.

Nagle pan Tomasz zatrzymał się zdziwiony: na pochylonej, rozłożystej jabłoni, okrytej bladem kwieciem, huśtała się dziwna postać niewieścia, zaczepiwszy się długiemi, ciemnemi włosami o gałęź. Była tak różowa, że zdaleka wydawała się jednym wielkim kwiatem, ciskanym przez figlarny wiatr w różne strony. Lecz podszedłszy bliżej, pan Tomasz widział wyraźnie ciało, wirujące w szalonych kozłach, aż jabłoń trzęsła się, sypiąc wokół swawolnej dziewczyny deszcz płatków, tej samej niemal barwy, co jej smukłe kształty. Ona zaś

pławiła się w tej kąpieli światła i kwiecia, hasała rozkosznie w powietrzu, od czasu do czasu wybuchając kaskadą śmiechu, tak srebrnie dźwięcznego, iż wydawał się dzwonieniem rozradowanego ptactwa.

Oczarowany niespodzianym widokiem, pan Tomasz szedł bliżej, gdy nagle spostrzegł sunącego wśród wiśniowego gaju Kajetana, w czarnych sukniach, ponurego, jak zawsze.

I on widział dziwne zjawisko, i skradał się wielkimi krokami, biegł chyłkiem, aż dopadł jabłoni i, wyciągnąwszy z pod poły surduta pęk piołunowych liści, jął smagać ciało dziewczyny. Po sadzie i parku poszedł krzyk bolesny, obił się echem po łąkach i dąbrowach, umilkł, i znowu ozwał się żałosnym jękiem; zaskoczone dziewczę nie mogło rozplątać włosów, omotanych wokół gałęzi. Ramię Kajetana wzniosło się po raz wtóry w górę, gdy pan Tomasz przyskoczył z tyłu i wstrzymał rękę, zbrojną w piołun. Ogrodnik obrócił się, skłonił nizko, dostrzegłszy pana, chciał coś mówić, lecz pan Tomasz wskazał mu dłonią i wzrokiem, by sobie precz poszedł. Kajetan objął niechętnym spojrzeniem dziewczynę, opuścił ramiona, i pochylony, posępny, zwolna odszedł.

Kiedy zniknął, pan Tomasz spojrzał do góry. Dziewczyna siedziała wysoko, u szczytowych gałęzi, gubiła się wśród kwiatów. Ale pan Tomasz widział ją dobrze, widział teraz jej twarz wiosenną, oczy szafirowe, głębokie, które patrzyły nań z zagadkową zalotnością, usta wiśniowe, rozchylone w uśmiechu, aż dostrzedz można było drobne, białe zęby.

Pan Tomasz domyślił się prędko, kogo miał przed sobą. Małoż historyi opowiedziała mu ongi stara Andrzejowa o Majkach i Dziwożonach, co potrafią nieoględnego chłopca na śmierć załaskotać. Lecz on nie odczuwał żadnego lęku.

— Nie obawiaj się, piękna rusałko — rzekł — nie uczynię ci nic złego. Zejdź śmiało z drzewa, proszę!

Ona poczęła się do niego śmiać, jęła przekomarzać się figlarnie, udając obawę, potem zaczęła rwać kwiaty i splotła wianek, który ułożyła na włosach, przyczem od czasu do czasu ciskała w pana Tomasza garściami białych płatków; gdy listki osiadły na jego głowie i ramionach, niby motyle, śmiała się mocniej, aż jej kąty ust i wązkie, różowe nozdrza latały, a oczy błyskały filuternym ogniem. Pan Tomasz śledził wzrokiem każdy jej ruch i prosił dalej: Zejdź, rusałko, zejdź.

Nareszcie poczęła się opuszczać na dół, zwinnie, bez szelestu. Teraz pan Tomasz zbliżył się do pnia, ona skoczyła z ostatniej gałęzi na murawę, opierając się lekko o jego ramię. Nie mówiła nic, tylko uśmiech ust czerwonych stawał się bardziej zalotnym, prawie wyzywającym. Pan Tomasz przywarł ją do siebie mocniej, i nagle usta ich złączyły się w pocałunku długim, bez końca, słodkim, i zarazem drażniącym...

Pan Tomasz czuł, jak jej wargi równie drżące, jak tulące się doń ciało, wciskały się weń głęboko, piły jego duszę, sącząc z siebie bezmierną słodycz. Gdy nagle odsunęła się, uśmiechnięta, zagadkowa, potoczył się, jak pijany...

Wówczas objęła go za szyję, tak, że poczuł na ustach świeży, chłodny marmur jej ramienia, i jak dziecko złożyła na miękkiej trawie.

— Moja! — szepnął — jeszcze, jeszcze!... Moja ty!

Ona usiadła przy nim, pochyliła swą głowę nad jego ustami, musnęła je wargami, oddaliła znowu, a gdy on porywał się, żarty pragnieniem, i szukał jej warg, podsunęła mu piersi białe, jędrne... Pan Tomasz okrywał je pocałunkami, lecz szukał ust, któreby ugasiły jego ogień. Przyciągał ją, ona broniła się lekko, wciąż uśmiechnięta tym zagadkowym uśmiechem, który dra-

żnił i wabił. Nagle zadzwoniła głośnym śmiechem, i pochyliwszy się ku niemu, wpiła się w jego usta spalone...

*
* *

... Pan Tomasz podniósł powieki, niezmiernie znużony, i powlókł błędnym wzrokiem wokół, nie pojmując na razie, co było snem, a co rzeczywistością. Przetarł oczy dłonią, słońce kłoniło się ku zachodowi, w powietrzu czuć było przedwczesną świeżość, on wciąż siedział w fotelu na tarasie spalonego pałacu.

— Byłże to sen? — przemknęło po umyśle pana Tomasza pytanie — i uśmiechnął się zaraz, rozbawiony, iż podobna wątpliwość mogła zrodzić się w mózgu. Naturalnie, że sen, ale jaki miły, wyraźny, kochany! Przez chwilę pozostał bez ruchu, rozmyślając nad wyśnioną sielanką, odtwarzając w wyobraźni jej słodkie momenty.

— Czemu to był tylko sen?...

Kiedy wieczorem, podług zwyczaju, zamknął się samotny w swym gabinecie, o wielkich oknach weneckich, pełnym książek i starych sztychów, czytanie nie szło mu, wspomnienie rusałki rozpraszało uwagę, nęciło ku sobie myśl. Poszedł wcześnie do sypialni i prędko zasnął mocnym, twardym snem.

Nazajutrz dżdżyste czarne chmury osnuły horyzont smutną szarością; w szyby okna dzwonił jednostajny, drobny deszcz. Pan Tomasz pozostał cały dzień w mieszkaniu. Brak słońca rozstrajał go i przygnębiał. Gdy zmęczony czytaniem położył się na otomanie i oddał, według zwyczaju, marzeniom, spróbował wywołać wczorajsze zjawisko. Ale napróżno! Wyobraźnia odtwarzała tylko doznane wrażenia, nie umiała zdobyć się na nowe obrazy. Daremne wysiłki rozdrażniły go i spowodowały przykry niepokój nerwowy.

Słota trwała dni kilka, potęgując nudę i trudną do określenia tęsknotę. Pan Tomasz począł zdawać sobie

sprawę, iż przerwany wątek marzeń o dziwnej rusałce boli go coraz mocniej. Napróżno tłumaczył sobie, że to był sen, i że nie można przywiązywać się do widziadeł. Z tym snem było ci nieskończenie dobrze — odpowiadał inny głos — więc go pragniesz! I pocieszał się tylko nadzieją, że gdy słońce znów jasno zaświeci, i gdy pójdzie na przechadzkę do ogrodu, a potem na taras spalonego dworu, urocze zjawisko znów wróci. Choć nie miał żadnych danych, aby tak twierdzić, instynktownie czuł, że tylko tam, na owym tarasie, będzie mógł nawiązać ową nić marzeń. I z coraz większem upragnieniem wyczekiwał słońca.

Nareszcie jednego dnia, gdy się zbudził, wykrzyknął z radością: pogoda! Słońce przeciskało się przez szpary okiennic, złote, promienne; kiedy służący roztworzył okiennice, napełniło pokój jasną światłością. Pan Tomasz, wesół i szczęśliwy, nie mógł doczekać się śniadania, wołał wciąż na Andrzejową, by podawała spieszniej. A gdy zjadł, czemprędzej poszedł do ogrodu, przebiegł kilka ulic i podążył na taras.

Lecz znowu spotkał go zawód. Był nadto podniecony oczekiwaniem, sen nie chciał zamknąć mu powiek. Rusałka nie zjawiła się wcale i tylko pierwsze jej widzenie odtworzyło mu się w umyśle dokładnie, szczegółowo, budząc wspomnieniem jeszcze silniejszy żal i tęsknotę. Rozczarowany i zniechęcony, pod wieczór dopiero poszedł do domu. Do późnej nocy myślał, w jaki sposób wrócić do marzenia, które stawało mu się coraz droższem.

Przypomniało mu się twierdzenie Nietschego, iż niektóre osoby posiadają zdolność przedłużania jednego i tego samego snu w ciągu trzech nocy i dłużej. Wyszukał *Początki tragedyi* i odnalazłszy ów ustęp, jął powtarzać: »To był sen, prawda. Ale ja nie chcę, by się skończył! Ja pragnę jeszcze go śnić!« — Czuł w sobie

wielką moc woli i zrobiło mu się raźniej. — Czekajmy więc jutra. Po śniadaniu napiję się absyntu, ażeby się trochę odurzyć. A potem ona nie oprze się mej woli i musi wrócić!...

* * *

I wróciła... Objawiła się wśród skwaru letniego popołudnia, gdy szedł samotny długą aleją starych grabów, oddzielającą park od drzemiących stawów i łąk.

Chciał czynić jej wymówki, że go opuściła, lecz ujrzawszy ją, zapomniał o doznanej tęsknocie i smutku. Żal, który czuł, rozpłynął się w radości, że ją widzi i ma koło siebie. Ona nie tłumaczyła się wcale, tylko uśmiechała się zalotnie, i patrzyła mu w duszę aksamitnemi oczyma, które koiły i pieściły. Objęła go białem ramieniem i poprowadziła przez dziko wybujały trawnik ku wodzie, zarośniętej na nizkich brzegach sitowiem i tatarakiem. Z perłowo-błękitnego nieba sączył się rozkoszny żar i cisza. Na dalekim wzgórku, za łąkami, fioletowy w świetle wiatrak zasnął spokojnie, osłoniwszy się przejrzystą, złotą tkanką. Słodką ciszę zrzadka przerywał plusk ryby, wyrzucającej się swawolnie ku słońcu; jasny połysk wody marszczył się wówczas w sine koła, płaskie liście nenufarów kołysały się przez chwilę; zaś koła rozpościerały się szeroko, ginęły pod zatopionem do połowy czółnem. Niekiedy po sitowiach przemknęła dzika kaczka, wywołując w trzcinie tajemniczy szum. I potem znowu rozkoszny żar i cisza...

Usiedli na brzegu, w cieniu pochylonej nad wodą rozłożystej wierzby. Słodycz okalającej przyrody zlewała do duszy bezmierny pokój. Ją zajmowało i śmieszyło wszystko, co się wokół działo; wskazywała panu Tomaszowi figlarne babki, o szafirowych, przeźroczystych skrzydłach, jak się bujały na wysokich źdźbłach nadwodnej trawy; wybuchała śmiechem, patrząc na niezgra-

bne ruchy komara, który wiosłował cienkiemi nogami ku najbliższej kępie. Pan Tomasz oddychał wiośnianą wonią jej różowego ciała, i śmiał się z nią społem, rozbawiony i szczęśliwy jak dziecko.

Lecz gdy upał począł ich zbytnio prażyć, opuścili brzeg stawów i poszli w cienistą część parku, pod lipy olbrzymie. Między drzewami słońce lśniło świetlanemi wstęgami, zsuwało się po szmaragdowych mchach kory, grając dziwną mnogością barw. Rusałka rzuciła się na miękką trawę, pociągnęła za sobą pana Tomasza i ciszę pocałunków przerywał czasem tylko srebrny śmiech dziewczęcia, niósł się przez pola, łąki i dąbrowy...

* * *

Odtąd pan Tomasz, z wyjątkiem bardzo słotnej pory, wszystkie popołudnia spędzał na tarasie spalonego dworu. Rusałka przybywała coraz częściej na tajemnicze schadzki. Spotykali się w sadzie lub parku, przy nadłącznych stawach, albo nawet dalej, poza obrębem ogrodu; wówczas zapuszczali się bruzdami w dalekie łany pszenicy, coraz bardziej złociste, ubarwione habrami, makami i kąkolem. Pocałunki ich tłumił tęskny poszum kłosów, kołyszących się zlekka nad nimi, głaszczących i pieszczących kosmatem kwieciem. Wszechpotężne słońce obejmowało ziemię ogromnym uściskiem światła, otaczało ją promiennemi sploty, dusiło w namiętnem objęciu, przenikało palącą jasnością do najtajniejszych kryjówek. Zewsząd szły niepochwytne szmery, przyspieszone oddechy, stłumione westchnienia, chwilami milkły w ciszy bezmiernego upojenia, w omdleniu rozkoszy ponad siły, i rozbrzmiewały znowu wielkim miłosnym chorałem. A w miarę jak hen, nad nimi, mnożyły się blaski roztopionego złota, wiotka postać rusałki zdawała się pełnieć i dojrzewać, nabierała ponętnych kształtów.

W wędrówkach swych unikali ludzi, omijali zdaleka wiejskie zagrody, łąki podczas sianokosu, ugory i ścierniska, kędy rozbrzmiewały pieśni i fujarki pastuchów. Lecz tę samotność we dwoje przerywały im czasem inne zjawiska, o których pan Tomasz słyszał w pacholęcych latach, podczas długich zimowych wieczorów, kiedy smolne szczapy trzaskały raźnie na kominie, których jednak dotąd nigdy nie spotykał.

Raz, gdy znużeni skwarem, spoczęli pod starą gruszą, co się oparła na granicznej miedzy, i senni, ociężali, leżeli bez ruchu, rusałka nagle porwała się, wstrząsnęła silnie panem Tomaszem, pociągnęła go i popchnęła szybko w pszenicę. On dopiero teraz spostrzegł skradającą się ku nim wysoką, ciemną wiedźmę; stanęła na miedzy, zła, że ją zdobycz minęła, i szczerzyła długie zęby, nie śmiąc już zbliżyć się do nich. A rusałka, uradowana, iż się wymknęła Południcy, że uchroniła siebie i kochanka od bolesnych cięgów, dzwoniła kaskadą kryształowego śmiechu, pląsała wesoło, naigrawając się z zawiedzionej miny czarnej wiedźmy.

Innym znów razem, przed południem przeszła krótka, lecz gwałtowna burza, pan Tomasz krążył z rusałką po parku. Wschodnia strona widnokręgu była jasna, lazurowa, na zachodzie jednak pozostały jeszcze ciężkie stalowe chmury, w dali skupione i skłębione. Słoneczne promienie jęły już pić przeźroczystą rosę, perlącą się w kielichach kwiatów i w zagłębieniach liści i traw; krzywdę czyniła im rusałka, śmiejąca się i zadowolona. Schylała się wciąż i czerwonemi usty zbierała z kwiatów jasne krople, rozsmakowana, niby łakomy dzieciak, w wonnym nektarze.

Gdy potem, upojona nieco, podniecona, z błyszczącemi oczyma, pociągnęła pana Tomasza ku osłoniętej dzikim winogradem altanie, w grabowej alei zeszli się niespodzianie z Płanetnikiem, który spadłszy z gradową

chmurą na pograniczu, nie mogąc dać sobie rady z naprawą grubych sznurów, szedł do wioski, prosić o jajko od czarnej kury i mleko od czarnej krowy. Usunęli się za pień drzewa, rusałka przytuliła się bojaźliwie do pana Tomasza. Płanetnik przeszedł nie zwracając uwagi na nich. Lecz rusałka długo jeszcze nie ruszała się z za grabu, śledząc bacznie ruchy niezgrabnych rąk i nóg olbrzyma. A kiedy, znacznie później, opuścili altanę, rusałka poprowadziła pana Tomasza na aryańskie groby i z wysokiego wzgórza spostrzegli na łące wysoką postać Płanetnika, jak się ciskał i rzucał w dziwacznych skokach, jak w okół niego tworzyła się coraz gęstsza mgła, jak na jej pajęczynowej tkance począł się wznosić nareszcie do góry...

Najczęściej jednak spotykali Kusego, figurkę zabawną w czerwonym fraku, ruchliwą, jak żywe srebro. Ten próbował czasem zaczepić ich swemi zbytkami, lecz rusałka odpędziła go pogardliwie. Czasem, chcąc popisać się przed nimi swemi figlami, gonił z błyskawiczną szybkością na pola i widzieli go zdala, jak wywracał koziołki, obalał mendle snopów, zadzierał żniwiarkom spodnice, wybuchając co chwila przeraźliwym, dalekonośnym chichotem...

Snując swą dziwną sielankę, pan Tomasz nie zatracał jednak, zwłaszcza w początkach, świadomości tego, co się w nim działo. Zdawał sobie sprawę, iż dał się unieść niezwykłej zabawie.

— Stałem się igraszką własnych snów, chcąc ze snów uczynić igraszkę. Teraz jestem do nich przykuty i gdyby mi przyszło rozstać się z nimi, cierpiałbym. Lecz dlaczegóż miałbym się z nimi rozstawać?...

Niekiedy, podczas długich wieczornych rozmyślań, chłodna rozwaga brała górę i czynił sobie wyrzuty, iż treść życia zastąpiły mu płoche marzenia. I zaraz bronił się przed tą samokrytyką: Jeśli realne życie napoiło

mię żółcią, zatruło rozczarowaniami, jeśli brak mi doń chęci i siły, to dlaczegóż nie wolno mi szukać szczęścia w świecie marzeń? Rozbitek chwyta się każdej deski, która ratuje go od ostatecznego utonięcia. Już byłem na krawędzi rozpacznej otchłani, gdy owe sny błysnęły mi różową jutrzenką. Któż mi zabroni szukać szczęścia tam, gdzie je widzę, skoro to nikomu krzywdy nie sprawia?...

Ale z biegiem dni, gdy ciągłość tajemniczych widzeń utrwalała się, jasność umysłu pana Tomasza poczęła zachodzić mgłą. Popołudnia spędzał na tarasie, oddając się marzeniom coraz silniej rozigranej wyobraźni, marzeniom, kröre nie wymagały już nawet zupełnego uśpienia, lecz przychodziły łatwo, w stanie pół odrętwienia, a pół snu. Wieczorami, zamknięty samotnie w gabinecie przetrawiał w nieskończonych rozmyślaniach doznane w ciągu dnia wrażenia, póki sen nie skleił mu powiek. Ranki spędzał w gorączkowem oczekiwaniu godziny, w której zwykł był udawać się na taras.

Nie przyjmował żadnych odwiedzin sąsiedzkich, zaprzestał zupełnie gospodarskich konferencyi z rządcą, poleciwszy mu by składał piśmienne raporta. Tych nie brał wcale do ręki. Szczególniej unikał Kajetana, którego smutne badawcze spojrzenia drażniły go niepomiernie. W ogrodzie i parku zabronił wszelkich robót, polecając najsurowiej, by podczas jego przechadzek i siesty nikt, nie wyłączając Kajetana, nie ważył się tam pokazać. Jedyną osobą, która widokiem swym nie sprawiała mu przykrości, była Andrzejowa; z nią jedną czasem wdawał się nawet w rozmowy, które dziwiły starą niańkę, bo dotyczyły najczęściej tych legend i podań, któremi go w chłopięcych latach karmiła.

W ten sposób pan Tomasz coraz mocniej zasklepiał się w swych marzeniach. Sielanka z rusałką stawała się główną osią, koło której obracało się jego

istnienie. Poczynał żyć nią wyłącznie. Chwilami sen kojarzył z rzeczywistością i nie postrzegał granic. Pragnąc znaleźć wytłumaczenie dziwacznych złudzeń, które go opanowały, w rozmyślaniach swych postępował coraz dalej. Czemże jest cały otaczający mię świat? Mojem wyobrażeniem. Właściwie ja nie znam ani słońca, ani ziemi, tylko moje oko widzi słońce, moja ręka dotyka ziemi. Świat dotykalny nie istnieje sam przez się, tylko przez stosunek do innego przedmiotu. Tego dowodził nawet Kartezyusz, mówiąc: *Cogito, ergo sum!* A tem samem nawet istnienie świata jest problematycznem. Jeżeli zaś materyalny świat istnieje tylko w świadomości jednostki, to dlaczegoż nie miałby istnieć inny świat, nie dla wszystkich dostępny, nie dla wszystkich widzialny, ale prawdziwy, skoro stwierdza go moja świadomość? Nic nie jest w stanie stworzyć cokolwiek. Moje sny, jeżeli można je nazwać snami, muszą mieć jakieś źródło. Jeżeli tem źródłem jest choćby jedynie mój umysł, to odgrywa on wobec mej świadomości tę samą rolę, jaką odgrywa zmysł wzroku lub dotyku wobec przedmiotów namacalnych. Ale gdy zmysły konstatować mogą istnienie tylko przedmiotów materyalnych, to umysł mój więcej lotny, uduchowiony, sięga w dziedziny bardziej tajemnicze. Więc dlaczegóżby ten niezwykły świat, który odtwarzają moje sny, miał być złudą, a nie rzeczywistością? Dlaczegóżby moja rusałka miała być li tylko wytworem fantazyi, nie zaś prawdziwą, inną od ludzkich istotą, która mi się, w dobroci swej, zechciała objawić?...

* * *

W sadzie drzewa okryły się owocami, a liście poczęły żółknąć i rudzieć. Na polach znikły złote łany zbóż, zaś puste ścierniska jęły krajać pługi. Jaskółki zbierały się do odlotu.

Przed ułożeniem się do zimowego snu, przyroda zdawała się podwajać swe życiowe siły. Zapach kwiatów i ziół potężniał, mieszał się z gorącą wonią podorywek, otwierających swe łono dla nasiennego ziarna. Częste deszcze podniecały twórczą moc ziemi i roślin. Atmosfera była przesiąknięta odurzającą zmysłowością.

I rusałka była inną. Oczy jej paliły się zagadkowym ogniem, wilgotne, czerwone wargi rozchylały się nieustannie do pocałunków, białe piersi nabrzmiały i zaokrągliły się. Ciało jej, rozkwitłe bujnie, okryło się złotawym puszkiem, nabrało lekkiego, ciepłego zapachu, który drażnił zmysły. Gdy muskała kochanka pocałunkami; usta jej zdawały się mnożyć bez liku, tworzyły czarodziejski płaszcz wyszukanych pieszczot, pod którymi pan Tomasz wił się z rozkoszy, graniczącej z bolem, krzyczał, i płakał, i śmiał się w ekstazie zmysłów nadmiernej. Jej źrenice rozszerzały się i ciemniały, lica zachodziły purpurą, i wtórowała mu dzikiem wołaniem i śmiechem, w których dzwięczała rozpasana lubieżność, dusiła go w rozszalałych namiętnością uściskach. Pan Tomasz wracał teraz z tych dziwnych schadzek rozstrojony, wyczerpany, czasem na pół przytomny. Wspomnienie widziadła nie opuszczało go i później, lecz piekło, pobudzało, wytwarzało nieprzerwany stan gorączkowej podniety.

Czasem przychodził dzień chłodniejszy, wietrzny, widnokrąg czynił się stalowym, w sadzie i parku gałęzie drzew gięły się i wykręcały, gubiąc wśród żałośnego szumu owoce i liście. Pan Tomasz szedł wtedy z rusałką w pole, gdzie wicher hulał swobodnie, i kąpali się oboje w jego świeżych podmuchach, niby w falach morskich. Raz, podczas takiej wycieczki, rusałka cisnęła nagle pana Tomasza na miękką koniczynę, przypadła do niego, i przytuliła się lękliwie, chowając w dłoniach swe obfite włosy. Pan Tomasz dopiero wtedy spostrzegł, pod

pędzącym nad nimi szaro-niebieskim obłokiem, dwie długie Latawice; wokół nich szybowały czarne ptaki i słychać było przytłumione wiatrem wołanie:

— Pragnę chrztu! pragnę chrztu!

Obłok przemknął szybko, a uspokojona, rozradowana uniknięciem niebezpieczeństwa rusałka objęła pana Tomasza uściskiem, przywarła się do jego warg swemi ustami...

Potem jęły następować dni słotne i pan Tomasz musiał kilkakrotnie zaniechać wyprawy na taras.

* * *

Przeszło tydzień drobny zimny deszcz bił z posępną jednostajnością w szyby. Pan Tomasz co rano wychodził na ganek i szukał rozpaczliwie na horyzoncie światlejszych miejsc, któreby rychłą pogodę zwiastowały. Ale niebo pozostawało szaro-stalowem, nieskończonem morzem. Nocami wicher jęczał i wył, pożółkłe liście leciały z drzew. Pan Tomasz spędzał czas w przeraźliwej nudzie, która chwilami zmieniała się w rozpaczną tęsknotę. Próżno wywoływał obraz rusałki; umysł odtwarzał tylko wspomnienia minionych chwil, sny były puste i szare. Pan Tomasz, już wyczerpany fizycznie przez ostatnie schadzki, pobladł i osłabł jeszcze więcej, tęsknota żarła go coraz potężniej. Całemi dniami siedział samotny, bez słowa, opanowany jedną myślą i pragnieniem ujrzenia kochanego zjawiska. Gdy Andrzejowa, podmówiona przez rządcę i Kajetana, zaproponowała nieśmiało, by wezwał lekarza, wpadł w gniew, graniczący z furyą.

— Oni mię doktorem częstują, kiedy mnie potrzeba słońca, słońca, które mi ją powróci!... — skarżył się potem sam przed sobą.

W końcu deszcz ustał, przyszedł dzień pogodniejszy, lubo chłodny. Wczesnym rankiem trawniki i obna-

żone już w części gałęzie drzew okrył srebrzysty szron; południowe słońce stopiło go i wypiło. Pan Tomasz nie mógł doczekać się śniadania, tak mu pilno było na taras. Głowa mu się paliła, nadzieja zobaczenia rusałki rozpierała piersi.

— Czyż ujrzę cię nareszcie, kochana moja! moja ty! — szeptał, mimowolnie rozrzewniony do łez.

Nie zważając na chłód, zarzucił na ramiona płaszcz i zajął zwykłe miejsce na tarasie. I niebawem ujrzał ją, przyszła aż do kamiennych schodów. Ale była blada i wychudła, włosy jej nabierały jaśniejszej, nikłej barwy, usta zbielały, oczy straciły ogień. Była przytem smutna i milcząca, wesoły, kryształowy śmiech nie rozweselał już dąbrów, pól i łąk...

Pan Tomasz widział te zmiany, lecz nie zwracał na nie bliższej uwagi. Przedewszystkiem radował się, że przyszła, że ją ma znowu przy sobie. Poszli w ogród, usłany opadłemi liśćmi. Lekko zmarznięta ziemia była twarda i rusałka stąpała ostrożnie, jakby z bólem. Tuliła się bezsilnie do pana Tomasza, a on czuł, obejmując ją, że płomień jego krwi gaśnie, że ogarnia go dziwny, wewnętrzny chłód.

Liście szeleściały pod ich stopami, nad głowami krakały wrony, darły się ponuro kawki. Niedługo drzewami poruszył zimny, przejmujący wiatr, gałęzie poczęły trzeszczeć, resztki liści z szumem jęły wirować w powietrzu, gnać po alejach parku. Niebo uczyniło się szarem, pociemniało. Pan Tomasz uczuł w plecach nieznośny mróz i w tej chwili rusałka zniknęła...

On otworzył oczy i niepewnym wzrokiem szukał jej wśród krzewów i drzew ogrodu. W kępie bzów, opodal tarasu, zobaczył jakąś postać. Podniósł się z fotelu i zaczął ku niej biedz. Dopadł krzaków, rzucił się w gąszcz i krzyknął okropnie. Postrzegł, że to nie była rusałka, lecz Kajetan, który zdala, w ukryciu, pilnował panicza.

Pan Tomasz zachwiał się na nogach i byłby niezawodnie upadł na ziemię, gdyby go nie podtrzymało silne ramię ogrodnika.

* * *

... Chory uspokoił się nieco. Doktór, który pozostał na noc, przeszedł do drugiego pokoju, położyć się na kanapie. Andrzejowa, znużona wielodniowem czuwaniem, zdrzemnęła się na krześle. Dużą sypialnię oświetlała tylko jedna blada lampa nocna, a wątłe jej światło migało wciąż, błąkało się po ścianach i suficie, tworząc fantastyczne zygzaki i rysunki. Na dworze wicher dął, ciskając w szyby fale deszczu, jęczał i wył, czasem z cicha i smętnie, to znów wybuchał wściekłym rykiem i słychać było w dali trzeszczenie gałęzi, skrzypienie płotów i bram.

Pan Tomasz, mimo przymkniętych źrenic, nie spał. Ogarniała go nieskończona słabość, i czuł, że życie zeń ulata. Doznane cierpienia i gorączka tak go jednak wyczerpały, iż świadomość blizkiego zgonu ani go przerażała, ani dziwiła. Był zobojętniały, przeniknięty tą obojętnością, jakich się doznaje po wielkich bólach, przy braku nadziei lepszego jutra. Myślał o ogromnym spokoju i uciszeniu, jakie przyniesie mu śmierć, i niemal jej pragnął. Zresztą nie zastanawiał się głębiej nad swym stanem, bo nie był na sekundę sam. Gdy tylko przywierał oczy, okalały go natychmiast dziwne postacie. Było ich w pokoju pełno. Obecność ich nie przejmowała go lękiem, ale była mu przykrą. Otwierał oczy i widma znikały. Lecz niebawem ciężkie powieki opadały bezsilnie i znów otaczało go niezwykłe towarzystwo; znajdował się w nim i znany mu Płanetnik, i Południca, i wiele innych osób, które, aczkolwiek dotychczas nie spotykał, nie troszczyły się jego obecnością i nie zwracały nań uwagi. Tylko kusy, w czerwonym

fraczku, w cylinderku, z pod którego wystawały małe, krótkie rogi, tańczył koło niego i nudził go, i drażnił swem natręctwem.

Niedługo wszakże i te obrazy poczęły się wikłać w jego wyobraźni i osłaniać mgłą. Doznawał wielkiej męki przy oddychaniu, które czyniło się coraz trudniejszem. Pragnął obudzić Andrzejową i przywołać lekarza. Zabrakło mu sił. Coś w rodzaju bladego uśmiechu przemknęło po ustach pana Tomasza. Po co ich budzić?... Niech śpią... I tak mi nie pomogą... Pomogłaby tylko ona...

I nagle z nową siłą wróciło do umysłu wspomnienie jej, wspomnienie, które przez tyle dni i tyle nocy nie przestało dręczyć go tęsknotą, okrutną, zażartą. Dlaczego ona doń nie wróci, choć na chwilę, dlaczego jej obraz nie osłodzi mu ostatnich chwil?... Pan Tomasz nie miał już sił na skargi i wyrzekania, któremi wypełnioną była jego dusza. Lecz odczuwał dla siebie samego wielką litość, i z oczu jęły mu ciec łzy...

Już nie mógł prawie chwytać powietrza. Ale wśród mąk, których doznawał, nie koiła go teraz rezygnacya, bo resztę świadomości dręczył straszliwy ból i żal. Pójdę sam, bez niej! Opuściła mię. Zostawiła samego. Opuściła... Pójdę sam...

W przyległym pokoju ozwał się szelest. Wicher uderzył w okna z dzikim chrzęstem i jękiem. Pan Tomasz rzucił się na łóżku, począł kurczowo palcami drapać kołdrę, usiłując powstać na siedzeniu. Twarzą i całem ciałem zwrócił się ku drzwiom, w oczach zabłysł ostatni promień dogasającego życia, usta rozjaśnił słaby, lecz pełen szczęśliwości uśmiech. Na progu ujrzał białą, prawie przezroczystą postać rusałki; na jasnych włosach miała wianek z nieśmiertelników. Palec położyła na ustach, a drugą ręką zdawała się wzywać, by za nią szedł.

Pan Tomasz cisnął się na pościeli i z piersi jego wydobył się wielki krzyk:

— Przyszłaś po mnie! Pójdziemy razem! O kochana moja!...

Andrzejowa, zbudzona hałasem, porwała się z krzesła i poczęła wołać rozpaczliwie lekarza.

Pan Tomasz nie żył...



GDY LECĄ LIŚCIE...

Pan Andrzej nie mieszał się do ożywionej rozmowy, jaką obie panie prowadziły z jego siostrzeńcem. Przeciwnie, wesoły nastrój i częste wybuchy śmiechu pani Zofii raziły go i drażniły. Dowcipy młodego Szalickiego wydawały mu się pustymi i płaskimi, i bezwiednie brał jej za złe, że się nimi tak szczerze bawiła. Prócz tego niezadowolony był z miejsca, które przypadkiem, czy umyślnie wyznaczała mu w powozie. Nie siedział naprzeciw niej, lecz miał przed sobą ociężałe i przekwitłe kształty starszej kuzynki. Przedewszystkiem jednak czuł, że niepokój, który go nie opuszczał od czasu ostatniej choroby, teraz w nim rósł i opanowywał wszystkie nerwy. Milczał tedy, zdając sobie sprawę, że owo milczenie chwilami stawało się dla towarzystwa przykrym rozdźwiękiem. To go rozstrajało jeszcze silniej.

Pojazd sunął prędko szeroką aleją, mijając setki innych. Z obu stron alei ciągnęły gęste tłumy przechodniów. Od krańca, w którym połyskiwały żółte ogniki oświetlonych już kawiarni, niósł się przytłumiony poszum miasta. Turkot kół, chrzęst wagonów, toczących się po wiadukcie, ostre dzwonki tramwajów, echa krzyków i nawoływań... Niekiedy odezwały się skoczne tony

walca i cichły. Wielki park wchłaniał te odgłosy i tłumił. Przedwieczorne opary pełzały po rozległych murawach. Powietrze przesiąkłe było wilgocią.

— Takam panu wdzięczna za przejażdżkę! — zwróciła się nagle pani Zofia do pana Andrzeja. — Śliczną miał pan myśl. Te drzewa są tak piękne! Tylko w jesieni są tak piękne! Niech panowie spojrzą tam, gdzie gąszcz. Co za orgja barw! Żółte, pomarańczowe, rudawe, to znów zielone. Jakie napięcie kolorów! Zupełnie jak na obrazach...

Młody blondyn odpowiedział:

— Gastona Latouche...

— Prawda? Pamięta pan?... Ach, jak ja lubię jesień! Wiosna osłabia mię i denerwuje. W jesieni zaś tkwi taki dziwny sentyment!...

Oczy pani Zofii zasnuły się lekką mgłą. Twarz powlekła się rumieńcem, wązkie usta pokraśniały, nozdrza poruszyły się kilkakrotnie. Była rozmarzoną i jednocześnie podniecona. Pan Andrzej patrzał w nią, nie tając zachwytu. Zapomniał o swoim złym humorze i troskach. Obejmował szczęśliwem spojrzeniem jej drobną i szczupłą postać androginy, pełną młodzieńczego, zmysłowego wdzięku.

Gdy jej nie widział kilka dni, w duszy rozsiadały mu się tęsknota i smutek. Przy niej przestawał myśleć o swoich posrebrzonych włosach. Wracało mu poczucie młodości. Nie budził zazdrości w jej mężu i, nie obawiając się obmowy, mógł odwiedzać ją niemal codziennie, towarzyszyć na przechadzki i zabawy. Ona mu się zwierzała ze swoich kłopotów i zmartwień. Lecz tych kłopotów i zmartwień nie brała zbyt poważnie. Często, nim skończyła o nich mówić, już z nich sama drwiła. Jej sceptycyzm i wrodzone wielkomiejskie zepsucie drażniły i zarazem pociągały pana Andrzeja, który, mimo sztucznych pozorów *viveur'a*, był w głębi naiwnym liry-

kiem. To zepsucie, którem lubiła się popisywać, wydawało mu się przecież tylko zewnętrznym pokostem. Czarowała go jej rozbujała ochota do życia i ciekawość nowych wrażeń.

— Czy pani nie zimno?

Kuzynka pani Zofii odparła:

— Trochę. A panu?

Pan Andrzej czuł już od kilku chwil dreszcz chłodny, który chodził mu po plecach. Wstydził się jednak przyznać.

— Nakryjemy się pledem...

Rozpostarł pled, otulając starannie kolana pań. Stangret zaciął konie, i powóz ruszył nagle ze zdwojoną szybkością. Pani Zofia szepnęła:

— Tak lubię...

Przechyliła się w tył i przymknęła powieki. Przez kilka dłuższych chwil wszyscy milczeli. Wtem pani Zofia poruszyła się.

— Dlaczego pan dawniej nie przyprowadził nam swojego siostrzeńca? — spytała pana Andrzeja. — To z pańskiej strony bardzo niegrzecznie.

— Bo ja sam nie wiem, kiedy on się zmienił w dorosłego człowieka. Wczoraj był jeszcze dzieciakiem.

Szalicki uśmiechnął się, nieco zakłopotany, i skubał niewielkie wąsiki. Pani Zofia rzekła:

— Ładny dzieciak! Wąsy zakręca, jak węgierski kapitan...

Wcisnęła się znów wygodnie w poduszki oparcia. Na ustach jej pozostał jednak zagadkowy uśmiech. Parę razy drgnęła nerwowo. Szalicki zamilkł, ręce schował pod pled i przyglądał się z pozorną obojętnością przemykającym powozom. Gdy pled z jednej strony począł się osuwać, pan Andrzej chciał go poprawić. Szalicki zbyt prędkim rzutem wyjął swoje dłonie. Pani Zofia poprawiła się gwałtownie na siedzeniu...

Panu Andrzejowi zrobiło się duszno. Nie powiedział ani słowa i oczy odwrócił w stronę dymiących oparami trawników, nie chcąc spotkać się ze wzrokiem pani Zofii. Ona zaś jęła rozmawiać żywo...

Atoli teraz już jej szczebiot i paradoksy nie rozjaśniły oblicza pana Andrzeja. Siedział chmurny z zaciśniętemi wargami.

— Co panu jest, panie Andrzeju? Gdzież zwykły dobry humor?

— Jest mi trochę chłodno, i, zważywszy na moją niedawną chorobę, obawiam się...

— Wracajmy do domu!

— Dlaczegoż państwo mieliby przerywać spacer? Niech panie wybaczą tylko, że ja wysiądę. Pójdę piechotą, żeby się rozgrzać.

Pan Andrzej uparł się i mimo przełożeń i namów obstawał przy swojem. Pożegnał się, zatrzymał powóz i wysiadł. Gdy zniknął w tłumie, pani Zofia z widoczną ulgą rzekła do Szalickiego.

— Pański wuj postarzał się bardzo. Jeszcze na wiosnę był taki rzeźki.

Szalicki odparł:

— W tym wieku przesilenie następuje niewiadomo kiedy. Wystarcza najmniejsza choroba...

I jak gdyby mu ręce znów zmarzły, schował je prędko w fałdach pledu.

. . . Panu Andrzejowi krzykliwa ciżba była nieznośna. Nie poszedł główną aleją, lecz skręcił w wązką ulicę, obramowaną dwoma rzędami kasztanów i wiodącą na przełaj ku miastu. Zazwyczaj wyprostowany jak struna, teraz przygarbił plecy, ramiona opuścił, o pozorach elastycznych ruchów zapomniał. Czuł się nieskończenie przygnębionym. W duszy zrobiło mu się ciemno. Uczucie, którego doznawał, nie było właściwie ani zazdrością, ani rozczarowaniem, ani gniewem. Było w niem potro-

chu wszystkiego, ale górowało wielkie znękanie. On, który ją znał tak dawno, ledwo rękę czasem odważył się ścisnąć nieco mocniej. A ten młodzik, co ją poznał przed kilku dniami dopiero... Mimo poniewolnej niechęci, jaką w nim rozbudził Szalicki, pana Andrzeja nie opuściła trzeźwość umysłu. Mógłżeby się zdobyć na takie zuchwalstwo, gdyby go do niego nie upoważniła? I czyż ja nie byłem równie śmiałym, gdy miałem jego lata? Teraz brak mi tej śmiałości i pęwności siebie, bo włosy siwieją...

Pan Andrzej otrząsnął się nerwowo. Starość? Wyprostował plecy, poprawił cylinder, przyśpieszył kroku. Lekki wiatr się zerwał i z kasztanów posypały się żółte, skurczone od chłodu i zeschłe już liście. Leciały cicho, z ledwie dosłyszanym szmerem padały na rozmiękłą ziemię i murawę. Pan Andrzej jednak dobrze słyszał ów szelest. Dźwięczał mu w uszach, niby jednostajna, dziwnie smętna melodya. Spojrzał do góry. Czarne gałęzie drzew wyzierały już z pośród przerzedzonej gęstwy. Co moment odrywały się inne liście, i wolno, wolno kładły się u jego stóp...

... Pan Andrzej wszedł do jasno oświetlonej kawiarni, w której od wielu lat bywał stałym gościem. Kazał sobie podać szklankę grogu i zbliżył się do bilardów. Znajomi zaproponowali mu partyę karamboli. On zgodził się, i za chwilę po zielonem suknie goniły kule. Lecz pan Andrzej chybiał ciągle.

— Dawniej grał pan znacznie lepiej — zauważył jeden z partnerów, a sędziwy radca-emeryt, przesiadujący w kawiarni od rana do nocy, dodał bez złej myśli: — Starość nie radość! I ja dawniej wcale niezgorzej grywałem. Dziś trzęsą się ręce...

Ta dobroduszna uwaga rozdrażniła bardzo pana Andrzeja. Odpowiedział emerytowi szorstko i, z trudnością doczekawszy się końca partyi, pożegnał się ze zna-

jomymi. Do domu wracać było za wcześnie. — Napiję się herbaty i przeczytam gazetę — pomyślał i zajął miejsce przy stoliku we frontowym pokoju kawiarni.

Opodal młoda i ponętna blondynka piła ze znudzoną miną czarną kawę. Ubrana była jaskrawo i twarz miała umalowaną. Panu Andrzejowi jednak wydała się nie pozbawioną wdzięku. Poprawił krawat, przesunął palcami po wąsach i rzucił znaczące spojrzenie w jej stronę. Robił to bez żadnych określonych zamiarów. Od tylu lat wobec każdej, przystojnej kobiety zachowywał się tak samo! Blondynka odpowiedziała wymuszonym półuśmiechem. Pan Andrzej wziął dziennik do ręki. Czytał z roztargnieniem. Pełne i świeże kształty blondynki zainteresowały go. W dalszym ciągu obsypywał ją spojrzeniami; ona od czasu do czasu uśmiechała się do niego tym samym znużonym i nieszczerym półuśmiechem.

We drzwiach od ulicy zjawił się Szalicki. Odwiózł panie do domu i zaniepokojony wielce o zdrowie wuja, przyszedł do kawiarni, spodziewając się tutaj go znaleźć. Przysiadł się do stolika. Pan Andrzej traktował od pewnego czasu siostrzeńca jak dorosłego mężczyznę. Rozmawiał z nim o kobietach i z zadowoleniem przyjmował uznanie, jakie budziło w Szalickim jego doświadczenie.

— Spojrzyj, jakie mamy szczęście! — rzekł do niego, zerkając w stronę blondynki. — Venus Anadyomene! Praksyteles nie wyrzeźbiłby piękniejszych form!

Mówił umyślnie dość głośno, ażeby mogła go słyszeć. Ona słyszała, lecz nie rozumiejąc obcych wyrażeń, nie wiedziała, zali zawierają ironię lub komplement. Zrozumiała atoli odrazu płomienny wzrok Szalickiego, i gdy ten z żartobliwą miną położył rękę na sercu, zaczęła dusić się od śmiechu. Szalicki, ośmielony zachowaniem się pana Andrzeja, rzekł:

— Niczego kuropatwa. Warto ją oswoić. Zaraz wrócę do wuja.

I bez ceremonii przysiadł się do blondynki, a za chwilę szeptali z sobą, jak dawni znajomi, wybuchając często głośnym śmiechem. O panu Andrzeju zapomnieli zupełnie.

On zaś uczuł nagle ten sam dopływ goryczy. Łatwej zdobyczy nie zazdrościł siostrzeńcowi. Więc jakiż był powód tego nieokreślonego smutku?...

Pan Andrzej zapłacił śpiesznie za herbatę i włożył paltot. Szalickiemu, który ofiarowywał się odprowadzić go do domu, odrzekł:

— Zostań. Wrócę sam.

I wyszedł na ulicę.

Ciemny szafir nieba połyskiwał teraz gwiazdami rzęsiście; miasto, skąpane w powodzi świateł, huczało wieczornem, podnieconem życiem. Tłumy przechodniów na ulicy potęgowały w panu Andrzeju wrażenie samotności. Wlókł się powoli, nie widząc nikogo. Ktoś go chwycił za ramię:

— Idzie pan do pani Heleny? Pójdziemy razem...

Pan Andrzej uścisnął podaną mu dłoń, i odparł:

— Nie, nie idę. Cóż to za przyjęcie?

Szczupły, wytwornie przyodziany brunet pokazał białe zęby.

— Ma być bajeczna zabawa. Same młode mężatki. Ani jednej matrony, ani jednej panny! Myślałem, że i pan będzie. Do widzenia!

— Dotychczas zawsze mnie prosiła na takie zebrania — myślał pan Andrzej, idąc dalej. — Pierwszy raz pominęła mnie, choć w niedzielę byłem u niej z wizytą. Prawda, mówiła także, żem się zmienił...

Pan Andrzej czuł, jak w nim rósł niezmierny, drażniący niepokój. Czyżby to istotnie zbliżała się starość, starość, z której on jeszcze nie zdawał sobie sprawy,

którą jednak postrzegali inni? Śmierci się nie lękał, lecz starości!... Smierci się nie lękał wcale, ale życia było mu żal. Pan Andrzej kochał życie. Widział w niem źródło rozkoszy i radości, i pragnął pić z tego źródła jak najdłużej. Miałożby dla niego już suche, nagie dno wyzierać?...

Pan Andrzej kochał życie tak, jak je pojmował. Zamożny i niezależny, nie uchylał się od obowiązków obywatelskich, które jednały mu zawsze szacunek i dawały stanowisko. W razie potrzeby ofiar pieniężnych nie skąpił. Lecz przedewszystkiem staraniem jego było z życia wyciągnąć najwięcej zadowolenia. Czynił to jak dobry i zapobiegliwy gospodarz, wystrzegający się pospiesznej i przedwczesnej dewastacyi. Albowiem rozumiał, że w ten sposób korzystać z życia można tylko w miarę sił fizycznych.

Takie więc pojmowanie życia wytwarzało w panu Andrzeju pobłażliwość i wyrozumiałość dla ludzkich błędów i namiętności. Moralność jego była bowiem pogańska. W salonach lubił zawsze kokietować wolterowskim sceptycyzmem.

Śmierć? Nie, ten bezkresny wypoczynek w czterech zimnych ścianach, ten sen chłodny i wieczny nie przerażał go wcale. Byle do ostatniego tchnienia żyć pięknie! Lecz starość, to stopniowe rozsypywanie się krzepkiego ongi gmachu, cegła po cegle, kamień po kamieniu!...

— Muszę mieć gorączkę — myślał pan Andrzej. — A może tylko wielki rozstrój nerwowy?...

Znalazł się przed domem, w którym mieszkał. Zajmował nie wielki, zupełnie oddzielny pawilon, otoczony cienistym ogródkiem. Ogród od podwórza odgraniczała żelazna sztacheta. Pan Andrzej rozwarł furtkę. Uliczka zasłana była liśćmi. Duży kasztan, który z rana jeszcze budził podziw swą gęstą, żółtawą czupryną, pokazywał

teraz bezwstydnie obnażone gałęzie. Choć wiatru nie było, z drzew co chwila odrywały się liście, i wolno, smętnie leciały ku ziemi. Padały z cichem, ledwie dosłyszanym szelestem, i już inne leciały za niemi... Blady krąg księżyca przyświecał obojętnie.

Pan Andrzej otworzył drzwi i wszedł do przedpokoju. Było ciemno. Pana Andrzeja zdjął niewytłómaczony lęk. Drżącą ręką odszukał świece i zapałki. Lecz światło błysło, a uczucie lęku nie ustąpiło. Chciał wejść do gabinetu na dole, by zobaczyć, czy nie nadeszły listy, i wejść nie miał odwagi. Doznawał wrażenia, że tam, za drzwiami, na biurku dopalają się świece, a w fotelu siedzi mężczyzna z posiwiałemi i przerzedzonemi włosami, z ramionami opuszczonemi bezwładnie, bardzo smutny i przygnębiony.

I mężczyzna ten — to on sam... Tę trwogę ujrzenia własnego sobowtóra pan Andrzej odczuwał już kilkakrotnie w chwilach ostrzejszego rozstroju nerwowego. Nigdy zaś nie odczuł jej tak silnie. Strach zmoczył mu czoło zimnym potem i trzymał za kark. Pan Andrzej lękał się wejść, a jednocześnie czuł, że do tego pokoju wejść musi, bo w przeciwnym razie przez całą noc męczyłby go obraz tej postaci, wciśniętej w fotel przed biurkiem...

— Czy Mateusz śpi? — zawołał ochrypłym głosem pan Andrzej.

Z za kuchni odpowiedział służący.

— Jaśnie pan mnie potrzebuje?

Ten dźwięk ludzkiego głosu uspokoił nieco pana Andrzeja. Przemógł się i nacisnął klamkę. Odetchnął swobodniej. W gabinecie było ciemno, fotel przed biurkiem był pusty...

... W sypialni pan Andrzej przyszedł do siebie zupełnie. Napięcie nerwów minęło. Pozostało tylko wielkie znużenie i bezmierna tęsknota. Mimo zgaszonego świa-

tła uczucie lęku już nie wracało. Przez szyby zaglądała niebieska noc.

Pan Andrzej jednak zasnąć nie mógł długo. Do rozkołatanego umysłu pchały się bezładne wspomnienia młodzieńczych lat i jednocześnie w uszach zawodził jednostajny, smutny poszum, cichy, lekki szelest zwiędłych liści, które odrywają się i lecą...

Chybiona zabawa.

Czyżyk uchylił ostrożnie drzwi i wsunął się cichcem do wnętrza. Na razie nikt nie zauważył jego wejścia, prócz modelki, która na drugim krańcu sali karmiła wzrok uczniów Akademii Julliena swem obnażonem, przywiędłem ciałem. Jej wstydliwość, zobojętniała wobec artystów, ocknęła się na widok obcego. Być może, iż poczuła na sobie ciekawe i pożądliwe spojrzenie Czyżyka. Wskazując ręką na przybyłego, zawołała:

— *Y a un étranger!*

Odpowiedział jej przeraźliwy ryk i kwik, naśladujący z powodzeniem wszystkie domowe i dzikie zwierzęta. Przy sztalugach uczynił się ruch. Młodzieńcy, malujący w pobliżu wzniesienia, usłyszeli słowa modelki i protestowali gradem starannie dobranych inwektyw przeciw wtargnięciu intruza. Inni, odwróceni tyłem do drzwi, oburzali się z powodu poruszenia się modelki. Czyżyk zaś stał w milczeniu, jak zwykle, słodko uśmiechnięty, lekko onieśmielony krzykiem, i szukał oczyma Koteckiego. Wreszcie spostrzegł go pod oknem, które odbijało sinawe, zimowe światło, i zawołał:

— Władek! idziesz?...

Kotecki dojrzał go jednocześnie. Gdy hałas nie ustawał, wskoczył na wysoki zydel i huknął:

— *C'est mon ami, n. d. D.! Cesserez vous de gueler?...*

Poczem w równie wykwintnej francuzczyźnie, z właściwą mu obfitością gestów, wyłuszczył modelce, że podobne objawy dziewiczej wstydliwości powinna zachować na swój użytek prywatny, że były one jednak zupełnie niewłaściwe w tak przyzwoitym zakładzie, jak Akademia Julliena. Atoli w rozgwarze, który panował w sali, barwne wyjaśnienia Koteckiego ginęły bez wrażenia. Z przeciwnego kąta ktoś krzyknął: *La ferme!* Kilka dziesiątków młodych krtani powtórzyło wśród śmiechów ten okrzyk. Tu i owdzie błysnął ogień zapalanych papierosów i fajek. Młody brunet w fantastycznem, aksamitnem ubraniu zbliżył się do *podium* i ofiarował modelce świeżo skręcony i poślinionym palcem pięknie sklejony papieros. Dziewczyna zaciągnęła się chciwie. Zadowolona z małej przerwy, prostowała znużone członki. Czyżyk znów zawołał:

— Władek! Czy idziesz?...

— W tej chwili. Muszę pozbierać farby i pędzle...

Spiesząc się, Kotecki nie widział, jak sąsiedzi otrząsali popiół z papierosów do odstających kieszeni jego marynarki. Zauważył jednak ich rozradowane miny, i, objąwszy ich nieufnem spojrzeniem, rzucił:

— *Tas tes brutes! A demain!*

Był gotów. W drzwiach oddał drewniane pudło z przyborami Czyżykowi.

— Jestem taki zmęczony! Weź na chwilę. Czyżyk zgodził się, nic nie mówiąc, i obaj wyszli na ulicę.

Kotecki był w złym humorze. Czyżyka nie dziwiło to wcale, albowiem zły humor u Koteckiego był stanem normalnym w drugiej połowie każdego miesiąca. Stypendyum, które otrzymywał, nie wystarczało mu. Kotecki lubił wykwintne ubranie, dobre jedzenie i zabawę w wesołem towarzystwie i miał nieustanny żal do społeczeństwa, iż nie dostarcza mu odpowiednich środ-

ków. Artysta nie jest cielęciem — twierdził — aby po mleku skakał. Byle jaki burżuj może sobie zapijać codzień tęgie wino i połykać ostrygi. Artyście każą befsztyk z koniny popłukiwać wodą i potem urągają, jeśli niema temperamentu i rozmachu. Psiakość! Podły świat!

Niekiedy gorycz tak w nim wzbierała, iż groził: — Słowo daję, rzucę malarstwo i będę pieprz sprzedawał. Sensu niema znosić takie przykrości dlatego, żeby sobie potem pierwszy lepszy bankier mojemi obrazami salony tapetował. Jeśli społeczeństwo nie poczuwa się do obowiązków względem artystów, to plunąć na takie społeczeństwo!

Czyżyk potakiwał jego wywodom, bo on potakiwał zawsze i wszystkim. W istocie jednak położenie Koteckiego, który od trzech lat otrzymywał co miesiąc dwieście franków, wydawało mu się godnem zazdrości. On nigdy jeszcze nie był w posiadaniu podobnej sumy. Czyżyk puszczał czasem wodze wyobraźni; właściwie jednak czuł się zupełnie szczęśliwy, skoro nie był głodny i miał pięć franków. Zdarzało się to jednak nie często. Zwykle przechadzał się po Paryżu z żołądkiem równie pustym jak kieszenią. Jego znajomi zastanawiali się nawet z czego, a raczej czem Czyżyk żyje. Wiedziano bowiem, iż był pozbawiony wszelkich środków. Dramaty, któremi miał zrewolucyonować sztukę teatralną, wypełniały mu głowę, dotąd jednak nie utrwalały się na papierze. Czyżyk zresztą miał wątpliwości, czy warto jest tworzyć dla tłumów, które i tak nie zdołają go zrozumieć. Pracą zarobkową, jako umysł wyższy, gardził. Kilkakrotnie ofiarowywano mu lekcye prywatne. Niezależność ducha, którą okazywał gęstem opuszczaniem lekcyi, jednała mu przychylność uczniów, odstręczała jednak prędko rodziców i opiekunów.

Czyżykowi trudno było odmówić pożyczki, ponieważ wiotkość jego kształtów i bladość jego miłego obli-

cza budziły zawsze współczucie, i ponieważ jego prośby nie przekraczały nigdy granicy dziesięciu franków. Zadowalał się i mniejszemi kwotami. Znajomi i nieznajomi, znudzeni jego częstemi odwiedzinami, namawiali go, by wracał do kraju. On odmawiał stanowczo. — Nigdzie nie żyje się — mówił — równie łatwo i dobrze, jak w Paryżu. Tutaj jest przytem ognisko życia umysłowego i artystycznego. Orły czują się dobrze w podniebnych strefach. Człowiek wyższego pokroju może czuć się szczęśliwym tylko w Paryżu...

Te dumne słowa znajdowały oddźwięk w sercach tych wszystkich rodaków, którzy w Paryżu marnowali czas bez potrzeby. Pogodzono się z losem i z częstemi, choć zawsze nieśmiałemi, odwiedzinami Czyżyka.

Dwaj młodzieńcy wyszli z ulicy *du Dragon* na bulwar *Saint Germain*. Powietrze było wilgotne i przejmujące chłodem. Gdy mijali kawiarnię Flory, Czyżyk spojrzał pytającym wzrokiem na przyjaciela. Kotecki zaklął:

— Jestem goły, jak...

Czyżyk nie nalegał, lecz poprosił o papierosa. Kotecki sięgnął do kieszeni i wyjął niebieską paczkę. Zarazem jednak spostrzegł nie bez zdziwienia, że tak papierosy, jak jego palce były hojnie uwalane popiołem. Uśmiech przebiegł mu po ustach.

— Ci złodzieje znów zrobili sobie z moich kieszeni popielniczki! Słowo daję, jak którego chwycę, nabiję psubrata, że popamięta!

Kotecki mówił swe pogróżki bez gniewu. Myśli jego pchnęły się wnet w innym kierunku. Począł skarżyć się, że już dłużej takiego życia nie wytrzyma. Dosyć ma podłych garkuchni, w których uczciwy, polski żołądek trzeba oszukiwać sałatą i chlebem. Wieczorem nie może sobie pozwolić nawet na niewinną partyę bilardu. W bezbarwnem, nudnem życiu twórczość kurczy się i schnie. Talent w końcu musi przepaść.

Czyżyk słuchał w milczeniu, potakując życzliwie. Czekał, aż Kotecki zacznie grozić ważeniem i sprzedawaniem pieprzu. Była to znana mu już kropla, przepełniająca miarę goryczy. Kotecki nie wystawiał długo jego cierpliwości na próbę. Nie doszli jeszcze do bulwaru *Saint Michel*, gdy się już przysięgał:

— Jak Boga kocham, porzucę sztukę i wstąpię do episyera. Lepiej pieprz ważyć!

Czyżyk wziął przyjaciela pod rękę i przerwał:

— Ja ci powiem, Władek: ty jesteś dzisiaj rozstrojony. Pracujesz za dużo. Powinieneś się zabawić, rozerwać. Tak nie można.

Kotecki wykrzywił się ironicznie.

— Zabawić się, rozerwać! Zaco? Jutro na papierosy mi nie wystarczy! Gdyby nie kredyt w garkuchni, z głodu bym umarł. Tyle szczęścia, że mogę sobie psuć na kredyt żołądek. Psiakość! To jest życie artysty!

Czyżyk poważnie ciągnął dalej:

— Twój rodzaj talentu wymaga rozrywki po pracy. Inaczej staje się bezpłodnym. O talent musisz dbać. Ogień, nie podsycany, gaśnie. Talent, więcej jeszcze niż szlachectwo, obowiązuje. Skoro nie masz pieniędzy, to trzeba pożyczyć.

Kotecki odczuwał słuszność wywodów Czyżyka. Pożyczyć! Do pożyczek nie miał wstrętu i praktykował je w miarę sposobności. Ale od kogo pożyczyć? Wszędzie »bryndza«... Z ogólno-społecznych szlaków rozmowa przeniosła się na tory węższe, lecz bardziej konkretne. Przyjaciele podsuwali sobie wzajemnie nazwiska znajomych i poddawali szczegółowej, kompetentnej krytyce widoki powodzenia. Ten niema, ten nie da, tego o tej porze trudno znaleźć w domu. Kotecki tak był pochłonięty dyskusyą, że skoczył jak oparzony, gdy go z tyłu ktoś chwycił za rękaw.

— Toż pan lękliwy!

Zahajkiewicz witał spotkanych z litewską serdecznością i akcentem. Młody Litwin, od kilku miesięcy dopiero w Paryżu, tęsknił za kołdunami i za towarzystwem rodaków. Zupełny brak znajomości mowy Rasyna utrudniał mu stosunki z cudzoziemcami. Po męczącem słuchaniu wykładów w Szkole nauk politycznych, na które sumiennie uczęszczał, choć ich nie rozumiał, Zahajkiewicz czuł się samotnym i opuszczonym. Cyganerya polska zżyć się z nim nie mogła. Uważano go za przedpotopowego filistra. Zahajkiewicz, mimo, że był chłopcem względnie zamożnym, miał burżuazyjne zamiłowanie do oszczędności i do poprawności w interesach pieniężnych. Ciasnota jego poglądów szła tak daleko, że regularnie płacił rachunki w hotelu i u krawca. Kilka razy przypomniał młodym ziomkom, którzy zaciągnęli u niego pożyczki, iż upłynął już termin przyobiecanego zwrotu. Podobne fakty musiały popsuć mu opinię.

Już przy wymianie uścisków dłoni Kotecki i Czyżyk porozumieli się wzrokiem. Zahajkiewicz, rozradowany i gadatliwy, proponował wstąpienie do kawiarni Soufleta. Czyżyk spuścił skromnie oczy na wilgotny asfalt chodnika; Kotecki nadał swoim wyraz ponury.

— Nie, proszę pana — rzekł stanowczym tonem. — My idziemy do domu.

Zahajkiewicz zrozumiał powód odmowy i odczuł delikatność odpowiedzi.

— Przecież jeśli proponuję, to i zapraszam! — dodał spiesznie.

Czyżyk spojrzał w duże szyby kawiarni, w której zapalono właśnie światła. Widocznem było, że miękł. Lecz Kotecki z tą samą energią powtórzył:

— Nie, proszę pana!...

Zahajkiewicz obliczył bezwiednie w myśli, ileby kosztowały trzy »konsomacye« i nie nalegał dłużej. Poszli w górę bulwaru *Saint Michel* razem. Gdy Kotecki

i Czyżyk zachowywali wciąż posępne milczenie, Zahajkiewicz jął nieostrożnie wypytywać:

— Panowie tacy dziwni! Stało się co złego? Proszę powiedzieć. Ja, gdy mam zmartwienie, do pustych ścian gadam. Zaraz lżej, jakby krwi upuścił.

Kotecki wzdragał się jeszcze chwilę, wreszcie zaczął mówić:

— Wie pan — zwrócił się z rzewnym uśmiechem do Zahajkiewicza — jak lubię pańskie towarzystwo, jak lubię rozmawiać z panem. Niech pan zapyta Czyżyka. Mówiliśmy o panu przed chwilą.

— Tak jest, mówiliśmy! — potwierdził ze słodką powagą Czyżyk.

— Ale dziś prawdziwie zbyt jestem przygnębiony. Są chwile w życiu człowieka... Panie Zahajkiewicz! Daję panu słowo honoru, jeszcze nigdy nie byłem w podobnych kłopotach. Poprostu życie się przykrzy. Wiesz pan, którego dziś mamy?

— Dwudziestego.

— Tak jest. A czy wiesz pan, ile mam pieniędzy w kieszeni?

Zahajkiewicz nie wiedział. Siwe jego oczy nie zdradzały jednak ciekawości.

— Pięć *sou!* — rzekł, cedząc słowa Kotecki i, przystanąwszy na chodniku, sięgnął ręką do kieszeni.

— Taż ja panu wierzę! Pocóż pokazywać! — zaprotestował Zahajkiewicz.

Kotecki chciał koniecznie pokazać. Stawał się coraz wymowniejszym. Malował w tak silnych wyrazach swe zatargi z praczką, *concierge'm* i składnikiem farb, że Czyżyk ukradkiem, tak jednak, iż Zahajkiewicz to spostrzegał, kilkakrotnie oczy chustką suszył. Młody Litwin nie hamował zresztą dzisiaj swej serdeczności i współczucia. Był pewnym, że znaczniejszej pożyczki nie udzieli, bo sam rozporządzał nader małą kwotą. Lada

dzień oczekiwał pieniędzy z domu. O tem jednak oględnie przemilczał. Lecz świadomość, że na razie jego funduszom nie grozi poważniejsze niebezpieczeństwo, budziła w nim popędy szlachetne i altruistyczne. Piętnował surowo zimny egoizm tych, co, mając odpowiednie środki, odmawiają pomocy rodakom w potrzebie.

— Przysięgam panu, że dałbym, ilebyś zechciał. Ale nie mam. Słowo honoru, nie mam. Proszę, zajrzyj pan do portmonetki... I do pugilaresu, proszę...

Teraz Zahajkiewicz chciał koniecznie przedstawić stan swoich kapitałów. Kotecki, acz się wzdragał, zgłębił przelotnem spojrzeniem zawartość portmonetki i pugilaresu. Jaśniejszym połyskiem świeciła tylko jedna sztuka złota. Twarz mu się przeciągnęła. Zahajkiewicz był wprawdzie gotów i z tej skromnej sumy oddać kilka franków, atoli Kotecki gardził transakcyami tego rodzaju. Mniej jak dwadzieścia franków pożyczał niechętnie i tylko w ostatecznym wypadku.

Rozmowa się rwała... Zahajkiewicz tem goręcej odczuwał kłopoty Koteckiego, że miały go nic nie kosztować. Zapewniał nieustannie i z wielką szczerością, że, gdyby miał pieniądze, to nie omieszkałby wybawić z przykrego położenia człowieka, do którego czuje rzetelną sympatyę. Przechodzili właśnie koło hotelu, w którym mieszkał.

— Zajdźcie panowie na górę — zatrzymał towarzyszów Zahajkiewicz. — Zrobię wam herbaty. Rozgrzejecie się.

Kotecki wahał się przez chwilę. Czuł, że Litwin mówi prawdę, i namyślał się, czy warto dlań czas tracić. Lecz nie miał nic innego do roboty i nie był przytem zdecydowany, czy wyjątkowo nie przyjąć od Zahajkiewicza małej choćby pożyczki.

Weszli do bramy. Czyżyk chciał przywitać się z gospodynią, której z dawniejszych lat był winien za ko-

morne. Albowiem Czyżyk miał dobry charakter, długów swoich się nie wstydził i z wierzycielami starał się zachować uprzejme stosunki. Właściciele hotelów przeważnie żywili dlań wdzięczność, że się z ich domów wyprowadził, i nieraz, gdy odwiedzał ich w porze obiadowej, zapraszali go do stołu.

Ale, zanim Czyżyk zdążył nacisnąć klamkę, drzwi od pomieszkania gospodyni roztworzyły się i na progu ukazał się poważny pan w surducie z metalowemi guzikami i w lekko zjeżonym cylindrze na głowie. Na piersiach miał skórzaną torbę okazałych rozmiarów. Jednocześnie z głębi ozwał się głos.

— *Monsieur* Zahajkiewicz! *Y a justement de l'argent pour vous!...*

Z banku przyniesiono pieniądze dla Zahajkiewicza. Spojrzenia Koteckiego i Czyżyka spotkały się. Wysłaniec bankowy, dowiedziawszy się, że adresat przybył, wszedł z powrotem do pokoju właścicielki hotelu, prosząc Zahajkiewicza za sobą.

Kotecki i Czyżyk poszli również. Po załatwieniu krótkich formalności, woźny wypłacił Litwinowi czterysta franków, ukłonił się i wyszedł. Zahajkiewicz czuł na sobie pytający, badawczy wzrok Koteckiego. Przeklinał w duchu swój brak przezorności, pojmował jednak, że wobec niedawnych zapewnień cofnąć się nie może. Czyżyk zdołał tymczasem zasięgnąć szczegółowych wiadomości o zdrowiu tłustej gospodyni i jej potomstwa.

Po chwili wszyscy trzej znaleźli się znów w bramie. Zahajkiewicz, bardzo zakłopotany, ponawiał swe zaproszenie na herbatę. Kotecki wziął go za ramię.

— Panie Aleksandrze — rzekł — nie byłbym śmiał prosić cię o przysługę, gdyby nie twe serdeczne słowa. Nie lubię pożyczać od obcych, lecz w panu czuję przyjaciela. Więc proszę pana o pięćdziesiąt franków. Oddam na pierwszego.

Zahajkiewicza zbiła z tropu wysokość żądanej sumy. Jął tłómaczyć się wydatkami, które go czekały. Kotecki nie ustępował. Życzliwie lecz stanowczo zbijał argumenty Litwina. Wreszcie stanęło na tem, że Zahajkiewicz dał mu trzydzieści franków, biorąc w zamian słowo honoru, iż zwrot pożyczki nastąpi niechybnie na pierwszego.

Czyżyk przysłuchiwał się w milczeniu tej rozmowie, czasem tylko przytakując, gdy Kotecki żądał jego świadectwa. W duszy Czyżyka toczyła się walka. On także pragnął skorzystać ze sposobności! Suma, której zażądał Kotecki, wydała mu się jednak tak nieprawdopodobnie wysoką, że nie śmiał już wystąpić z prośbą. Uczucie wrodzonej delikatności przemogło w nim. Postanowił nie narzucać się dzisiaj Zahajkiewiczowi, lecz prosić o małą pożyczkę Koteckiego.

— Chodźcie panowie na herbatę — rzekł posmutniały Zahajkiewicz.

Kotecki nie miał już teraz najmniejszej ochoty drapać się na czwarte piętro dla szklanki herbaty.

— Wybacz panie Aleksandrze — odpowiedział — pragnę jak najprędzej załatwić rachunki z *conciergem*. Innym razem. Dziś nie mogę. Niezadługo obiad... Nie warto psuć sobie apetytu herbatą. Do widzenia!

Pożegnał się tak prędko, że Zahajkiewicz nie miał czasu nic dodać. Czyżyk uścisnął dłoń Litwina bardzo serdecznie.

— Ja wpadnę do pana w tych dniach na herbatę i pogadankę, dobrze?...

Kotecki i Czyżyk wyszli raźnym krokiem na ulicę.

— Gwiżdżę na jego herbatę! — rzekł Kotecki. — Nie wygrałem nóg na loteryi, by je na obcych schodach niszczyć. Czyżyk! Zabawimy się! Psiakość! Człowiek musi sobie czasem pozwolić. Puścimy garkuchnię kantem. Pójdziesz ze mną na obiad.

— Dlaczegóżby nie?

Wywiązała się dyskusya, dokąd pójść. Czyżyk, zawsze skromny, proponował Duvala lub Boulanta. Dla Koteckiego jednak były to »gargoty«. Zdecydował się na *Taverne Panthéon*.

— Musimy się tylko ubrać porządnie. Tam przychodzą szykowne dziewczyny...

Zmiana garderoby przedstawiała dla Czyżyka trudności nieprzezwyciężone, ponieważ posiadał jeden tylko, mocno wytarty tużurek. Kotecki pożyczył mu czystego kołnierzyka. Sam przebrał się w najporządniejszy garnitur, którego ciemne barwy podnosił krawat niewypowiedzianie czerwony.

Idąc z pracowni Koteckiego do restauracyi, przyjaciele wstąpili do kawiarni na absynt. Kotecki łaskawie uwzględnił prośbę Czyżyka i dał mu trzy franki. W różowych humorach, o ósmej, zasiedli na najbardziej widocznem miejscu w sali restauracyjnej »Panteonu«. Kotecki zwłaszcza był doskonale usposobiony. Śnieżna białość serwet, obfitość światła i troskliwa uprzejmość garsonów działały zbawiennie na jego nastrój.

Przy stołach przeważała młodzież. Lekarze dopełniający swych studyów, bogaci studenci, gryzetki, mające zamożnych przyjaciół: arystokracya »dzielnicy łacińskiej«.

— Zjemy naprzód ostrygi i napijemy się *Chablis*, — proponował Kotecki. — Lecz przedtem po polsku golniemy gorzałki. Mają tu świetny *Marc de Bourgogne*... Smakuje jak nasza kotłówka. Potem wsuniemy po solce w sosie krewetkowym i jaki uczciwy kawał wołowiny. Spłukniemy go zacnym burgundem. Leguminka i kawa czarna, dobrze?

Czyżyk uśmiechał się słodko. Gdy kieliszek tęgiej wódki rozgrzał jego wygłodzony żołądek, młody dramaturg poczuł się rozmarzony. Jego wzrok stawał się

miękkim i powłóczystym. Oczy Koteckiego nabierały gorącego blasku. Już kokietował uparcie samotną sąsiadkę, która poufałą i głośną rozmową z garsonami starała się okazać, jak częstym bywa gościem w tej restauracyi.

Nim przyniesiono ostrygi, pierwsze lody były skruszone. Kotecki wyraził jej szczere uznanie dla olbrzymiego zielonego kapelusza, który przysłaniał ubarwione na żółto włosy. Wspomniawszy od niechcenia, że jest malarzem, powtórzył dwa razy z naciskiem, iż portret w tym stroju wywołałby duże wrażenie w »Salonie«. Stosunki Koteckiego z »Salonem« były takie, że od trzech lat corocznie posyłał obraz, którego przyjęcia zawsze mu odmawiano.

Żółtowłosa panna dość obojętnie przyjmowała te zwierzenia. Odpowiadała wymijająco. Nieufność jej jednak osłabła, kiedy ujrzała na stole sąsiadów duże tace z ostrygami i pięknie opieczętowaną butelkę wina i gdy usłyszała dalsze zlecenia, wydawane garsonowi. Nabrała dla młodzieńców szacunku i uczyniła się przystępniejszą. Za chwilę Kotecki nazywał ją już poufale: *Mademoiselle Jeannette.*

Czyżyk łykał chciwie, obliczając wciąż skorupki przynależnej mu porcyi. Kotecki jadł wolno, smakując. Przegryzał często chlebem i popijał winem. Garsona przestrzegał, by się nie spieszył z podawaniem następnych potraw. Jego rozmowa z panną Żanetą stawała się swawolniejszą. Interesował się mocno ciemnemi obwódkami, które okalały jej ładne, czarne oczy, i dopytywał się, czy nie spędziła bezsennej nocy u wezgłowia chorego przyjaciela. Panna Żaneta odparła z wyzywającym uśmiechem, że przypuszczenie to nie jest dokładnem, ponieważ jej przyjaciel jest bardzo zdrów.

Bliższa więc obserwacya przekonała Koteckiego, iż w »Salonie« znacznie silniejsze wrażenie zrobiłby jej

portret w tym stroju, w jakim Paulina Borghese pozowała Canovie. Pannę Żanetę zaintrygowało to nazwisko. Zdawało się jej, że spotkała się z nim na programie jednego z teatrów Montmartre'u. Gdy Kotecki wyjaśnił, że mówi o siostrze Napoleona I, panna Żaneta obojętnem skrzywieniem ust dała mu do poznania, że w takim razie dama ta nic jej nie obchodzi. Kotecki zaprzestał ozdobnych porównań i już bez dwuznaczników zaczął się zwierzać, jakie pod jej jedwabną bluzką odgaduje kształty. Przechylał się teraz ku niej i pewne uwagi wypowiadał ciszej; panna Żaneta wybuchała głośnym śmiechem. Rozmowa czyniła się bardzo ożywiona i znajomość coraz zażylsza.

Na talerzach piętrzyły się stosy pustych muszli. Garson pytał usłużnie, czy może podać rybę. Kotecki przyzwolił. W tej chwili w drzwiach ukazała się barczysta, niedźwiedziowata postać Zahajkiewicza, który, zjadłszy skromny obiad u Duvala, rozpoczynał po kawiarniach codzienne polowanie na znajomych rodaków. Litwin nie mógł strawić pożyczki, o której odbiorze powątpiewał, i gwoli umyślnemu umartwieniu, a zarazem oszczędności, zadowolił się dzisiaj spartańskiej prostoty posiłkiem. Teraz przyglądał się stosom muszli ostrygowych przed Koteckim i Czyżykiem i złość chwytała go za krtań. Kotecki spostrzegł go również. Nie był osobliwie zadowolony ze spotkania, a jako człowiek dobrze wychowany, poczuwał się do obowiązku uprzejmości.

— Niech pan łaskawie siada z nami! Czy pan już po obiedzie?

I, wskazując na Żanetę, dodał:

— Bycza niewiasta. Przedstawię pana.

Zahajkiewicz wahał się. Gniew w nim rósł.

— Blagował mi o swych kłopotach — skarżył się w duszy — rozczulił mię, a teraz za moje pieniądze wyprawia sobie orgie z kobietami.

Miał ochotę powiedzieć Koteckiemu ostre słowa prawdy, splunąć i pójść precz. Lecz jednocześnie żal mu było pozbawiać się towarzystwa ziomków. Czy odszuka gdzie indziej znajomych?... Dobrze wypełniona bluzka panny Żanety nęciła go również. Ciężko sapiąc, zdjął paltot i zbliżył się do stolika. Przywitał się bardzo chłodno. Garsona, który właśnie przyniósł sole w sosie krewetkowym, poprosił z ostentacyjną skromnością o *quart* piwa. I, starając się nadać swym poczciwym oczom wyraz surowy, rzekł zgryźliwie:

— Panowie sobie niczego nie odmawiają. Ostrygi idą furami. Jabym sobie nie mógł pozwolić na takie zbytki. Panów stać widocznie.

Koteckiego dotknęła ta wymówka. Uczuł się pokrzywdzonym. Położył widelec, skrzyżował ręce na piersiach i zawołał szczerze rozżalony:

— Słowo daję, tegom się po panu nie spodziewał! Więc już nawet ostryg człowiekowi zjeść nie wolno? Gdy nie mam pieniędzy, nie mogę jeść ostryg. Mam pieniądze — jeść mi nie wolno. Powiedzże pan, kiedy ja u dyabła będę jadł ostrygi? Bo ja ostrygi bardzo lubię!...

Zahajkiewicza zbiła nieco z tropu logika tej odpowiedzi. Czyżyk patrzył nań z wyrzutem. Kotecki dowodził mu wymownemi, nie pozbawionemi braterskiej życzliwości słowy, iż jego odezwanie się było wysoce nietaktownem, nawet wprost niegodnem dżentelmena. Przysługa, którą mu wyświadczył pożyczką, nie upoważniała go jeszcze do jakiejkolwiek kontroli nad trybem jego życia. Takie postępowanie musi zrażać do niego ludzi. Stąd płynie osamotnienie. Powinien się wystrzegać podobnych »fałszywych kroków«. W końcu, pragnąc zwrócić rozmowę na inne tory, zwrócił się nagle do panny Żanety, która przysłuchiwała się ożywionej dyskusyi, i zapytał:

— Jakie wrażenie robi na pani nasz język?

Ona odpowiedziała bez wahania:

— Jak gdybyście panowie gryźli szkło.

Kotecki i Czyżyk parsknęli śmiechem. Zahajkiewicz, gdy mu przetłómaczono replikę panny Żanety, zaprotestował przeciw określeniu, lecz śmiał się również. Kotecki nie pozwolił mu pić piwa i nalał kieliszek burgunda, drugi podał pannie Żanecie. Ta jednak odmówiła, twierdząc, że wino czerwone smakuje jej tylko przy jedzeniu. Zresztą pija wyłącznie szampana.

Kotecki namyślał się chwilę. Potem zwrócił się do Zahajkiewicza:

— Pal ją kaci! Napijmy się musującego. Na zgodę! Ale nie bądź pan już taki kwaśny.

Wybrał w spisie win jeden z najtańszych gatunków i kazał dobrze zamrozić. Panna Żaneta przysiadła się do ich stolika. Kotecki nacierał na nią teraz zblizka. Żółtowłosa panna musiała parę razy dać mu klapsa. Zahajkiewicz spoglądał z zawiścią; wobec nieznajomości języka francuskiego mógł być tylko niemym świadkiem tych umizgów. Powodzenie Koteckiego wzmagało w nim jeszcze zły humor.

Przyniesiono butelkę szampana. Korek strzelił radośnie. W płaskich kieliszkach zaszumiało złociste wino, lecz posępna mina Zahajkiewicza psuła nastrój. Pił sumiennie, myśląc, że w ten sposób wraca poniekąd do swej gotówki. Nie odmówił kawy z likierem. Zraziwszy się jednak do panny Żanety, która nań mało zwracała uwagi, nie mógł się powstrzymać od częstych spostrzeżeń szyderczych, te zaś drażniły nieprzyjemnie Koteckiego. Począł mu odpowiadać w tym samym tonie. Parę razy spojrzeli na siebie z jawnym wstrętem.

Pannę Żanetę nudziły te przekomarzania się, które tylko odgadywała, których jednak zrozumieć nie mogła. Przytem długoletnie doświadczenie nie pozwalało jej brać na seryo młodych cudzoziemców. O zamożności

studentów polskich miała zdanie wyrobione i opłakane. Wypiła chętnie wino, przyjęła z miłym uśmiechem dwa kieliszki zielonej *chartreuse*'y i, gdy nowe trunki nie przybywały, wstała i jęła się uprzejmie żegnać.

Kotecki usiłował ją zatrzymać. Zahajkiewiczowi dał wyraźnie do poznania, iż moralny obowiązek nakazuje mu postawić drugą butelkę szampana. Ta propozycya wstrzymała na chwilę żółtowłosą damę, Zahajkiewicz atoli oświadczył dość szorstko, że niema najmniejszego zamiaru pławić w szampanie tego rodzaju wyszminkowanych wielbłądów. Panna Żaneta znikła, unosząc za sobą silny zapach piżma. Trzej młodzieńcy zostali sami. Kotecki i Zahajkiewicz przeżuwali w milczeniu swój zły humor; oczy Czyżyka, zasnute lekką mgłą, patrzyły rzewnie, jak oczy psa, który obawia się przykrej rozprawy ze szpicrutą pana.

W końcu Kotecki machnął ręką i zawołał raczej do siebie, niż do innych: Psiakość! Poczem, nagle zdecydowany, kazał podać garsonowi rachunek. Należało się dwadzieścia sześć franków z centymami. Kotecki wyjął portmonetkę i począł liczyć wolno pieniądze. Liczył kilka razy i znów zaczynał. Brakowało mu do uregulowania rachunku wraz z napiwkiem dwóch franków. Zahajkiewicz spostrzegł jego niepewną minę, zapłacił spiesznie za swoje piwo i chciał odchodzić. Kotecki go zatrzymał.

— Może pan będzie łaskaw dać mi trzy franki — rzekł Kotecki głosem stanowczym, nie uznającym możności odmowy.

Zahajkiewiczowi krew uderzyła do głowy.

— Przepraszam — rzekł — ale przed chwilą pożyczyłem panu trzydzieści franków. To chyba dosyć!

Kotecki zmierzył go zimnem spojrzeniem.

— Nie myśl pan, bym o tem zapomniał. Nie uwierzy pan, jak żałuję obecnie, iż dałem się pociągnąć tej

ufności, którą pan we mnie wzbudził. Lecz nie o to chodzi. Pomówimy o tem innym razem. Tymczasem nie będziesz pan chyba robił skandalu w restauracyi. Siedziałeś pan z nami i piłeś. Skoro nie wystarcza mi na zapłacenie rachunku kilku franków, musisz pan je dać.

Garson, oczekujący odpowiedzi, patrzał na młodych gości badawczym, lekko nieufnym wzrokiem. Czyżyk, niespokojny o swoje trzy franki, które umieścił w głębiach kamizelki, zdawał się myślą szybować daleko. Zahajkiewicz sięgnął z wściekłością do kieszeni i położył żądaną sumę przed Koteckim, ruchem, który był dalekim od wytwornej grzeczności. Ten wsunął pieniądze do portmonetki, zachowując przytem pozorny spokój, zmieszał znów zawartość i odliczył garsonowi należność. Na dnie portmonetki zostały dyskretnie dwie małe sztuki półfrankowe.

Wyszli wszyscy trzej razem. Kotecki udawał, że Zahajkiewicza wcale nie widzi. Wziął pod ramię Czyżyka i prowadził go, gawędząc półgłosem o rzeczach obojętnych. Zahajkiewicz szedł parę kroków opodal, nie biorąc udziału w rozmowie. Gdy doszli do hotelu, w którym mieszkał, przystanął, chcąc się pożegnać. Kotecki jednak nie zatrzymał się i szedł dalej. Zahajkiewicz patrzył nań osłupiały. Czyżyk puścił na chwilę ramię Koteckiego, zawrócił się i szybkim, gorącym uściskiem dłoni pożegnał Zahajkiewicza. Czyżyk nie lubił mieć nieprzyjaciół.

— Wpadnę do pana w tych dniach — szepnął.

Zahajkiewicza rozrzewnił ten dowód życzliwości w chwili, kiedy o duszy ludzkiej w ogólności nabierał wysoce pesymistycznych przekonań. Nie miał jednak czasu wyrazić swej wdzięczności, bo Czyżyk już dogonił Koteckiego.

Teraz, gdy byli tylko we dwóch, Kotecki wybuchnął dawno poskramianym gniewem.

— Widziałeś coś podobnego? Po prostu wierzyć się nie chce. Takiego zwierzęcia jeszcze nie spotkałem! Pije cudze wino, a sam nie postawi butelki. I jeszcze dogaduje! Zepsuł nam całą zabawę. Ale czekaj! już ja go urządzę! Spotkamy się jeszcze, panie Zahajkiewicz!

Czyżyk dodał pogardliwie:

— Burżuj!



Pan Przetakiewicz.

Wisząca bronzowa lampa rzucała jasny blask na ceratę, okrywającą stół, na rozstawione talerze i szklanki, na żółty mosiężny samowar, który dymił wilgotną parą. Pan Franciszek Przetakiewicz, zawinięty wygodnie w długi, szary szlafrok o niebieskich wyłogach, odsunął z wyraźną niecierpliwością *Kuryera* i rzekł:

— To jest okropne. Już kwadrans mija, jak Maryanna poszła po cytrynę. Mogła była dziesięć razy kupić i wrócić.

Jego żona, bardzo tłusta blondynka o rozlewających się pod luźną, domową suknią kształtach, odpowiedziała tonem rezygnacyi:

— Z pewnością romansuje w bramie z lokajem od doktora.

Pan Franciszek spojrzał z żalem na stygnącą przed nim szklankę herbaty i powtórzył z naciskiem:

— To okropne!

Poczem jął na nowo czytać *Kuryera*. Lecz zaraz przerwał, bo obok niego podniósł się ogromny wrzask. Mały Piesio przyskoczył ze złością do starszego Frania i próbował z widoczną złością wyrwać mu z ręki duże, złociste jabłko, które tamten pożądliwie ze wszystkich stron ślinił i nadgryzał.

— Ddzieci, cicho bądźcie! — zawołał ojciec. -- Co się stało?

— Mama dała nam jabłko — zaczął się tłumaczyć płaczliwym tonem Piesio — żebyśmy się podzielili. Tymczasem bawiliśmy się, turlaliśmy je po stole. A teraz on chwycił i pogryzł, żebym ja nie jadł. — Ty złodzieju! — zawołał, grożąc bratu pięścią.

Franio chciał się tłumaczyć, lecz ojciec ręką uderzył w stół.

— Czy będziecie cicho! Ja tu zaraz dam sobie z wami radę.

I zwracając się do starszego syna, dodał:

— Oddaj jabłko!

Ten, po chwili wahania, z wyraźną niechęcią zadość uczynił rozkazowi. Pan Franciszek wziął ostrożnie w rękę pokłuty zębami i mocno obśliniony owoc.

— Chciałeś zabrać połowę, która należała do brata — rzekł uroczyście do Frania — teraz nie dostaniesz nic. To jabłko wyrzucę za okno, a Piesio dostanie od matki świeże, którem się wcale z tobą dzielić nie będzie. — Helciu, daj Piesiowi jabłko.

Pan Przetakiewicz powstał z krzesła i trzymając w dwóch palcach napoczęte jabłko, zbliżył się do okna. Już miał otworzyć lufcik, gdy pani Helena wstrzymała go za ramię.

— Nie wyrzucaj — rzekła półgłosem — lepiej dać Maryannie.

Wyrok ojca wywołał głośny wybuch płaczu Frania.

Matka wstawiła się za nim i postanowiono w końcu rozdzielić świeże jabłko między obu synów. Pan Przetakiewicz podjął się ze zwykłą powagą dokonać podziału.

— Ty — rzekł do Frania — jako starszy, podzielisz jabłko na dwie połowy. — Ty zaś — zwrócił się do Piesia — aby nie było niesprawiedliwości, wybierzesz dla siebie tę połowę, którą będziesz wołał.

Chłopcy nie zrozumieli salomonowej mądrości ojca, poddali się jednak bez szemrania jego woli. Gdy każdy z nich otrzymał przynależną mu połowę, pokazali sobie wzajemnie czerwone języki i usiedli na przeciwległych końcach stołu. Zaś pan Przetakiewicz spojrzał na zegar i biorąc *Kuryera* do ręki, rzekł:

— Z tą Maryanną życie się przykrzy...

Ciszę przerywał teraz tylko jednostajny tik-tak zegaru, lekkie syczenie wrzącego samowaru i odgłos łakomie poruszających się szczęk malców. Tak minęło kilka długich chwil. Nagle pan Przetakiewicz nadstawił ucha i rzekł:

— Zdaje się, że Maryanna przyszła. Moja droga — dodał, zwracając się do żony — idź-no powiedzieć jej parę słów gorzkiej prawdy.

Pani Helena łyknęła herbaty, obtarła chusteczką usta i zrobiwszy naprzód już surową minę, wstała i zniknęła w drzwiach korytarza, łączącego jadalnię z kuchnią. Pan Franciszek począł czytać *Kuryera* i słychać było znowu tik-tak zegara i syczenie wrzącego samowara. Chłopcy, wsparłszy się na łokciach, drzemali.

Wtem w kuchni rozległ się przeraźliwy krzyk pani Heleny. Pan Przetakiewicz zerwał się, a obaj malcy przypadli do połów jego szlafroka. Słychać było pełen przerażenia głos pani Heleny: Zbójca! zbójca! ratujcie! W korytarzu ozwał się odgłos jej pantofli, biegnących szybko. Jednocześnie dało się słyszeć pospieszne stąpania ciężkich butów i przyciszony męski głos:

— Cicho! na miłość Boską, cicho!

Już drzwi od korytarza drgnęły, gdy pan Przetakiewicz rzucił się ku nim i całą siłą ramion zaparł je. Z korytarza ozwał się bezdźwięczny z przerażenia głos pani Heleny:

— Franiu! otwórz, puść mnie!

I ostry, gwałtowny głos męski:

— Otwórzcie, otwórzcie drzwi!

Pan Przetakiewicz jednak całą siłą pleców trzymał drzwi zamknięte. W korytarzu słychać było szamotanie, ciche przekleństwa. Silne barki pchnęły drzwi, które się poczęły odsuwać. Nagle, pod mocnem uderzeniem, rozwarły się zupełnie. Pan Przetakiewicz, odrzucony gwałtownie, chwycił się za krzesło, aby nie upaść.

Na progu ukazał się chudy, wysoki mężczyzna, o rozrzuconych bezładnie włosach i bardzo bladej twarzy. Odzież miał rozerwaną, twarz i ręce powalane krwią. Powiódł w okół oczyma, które świeciły gorączkowym ogniem i chrapliwym głosem rzekł:

— Musicie mnie ukryć!

Pani Przetakiewiczowa, biała jak papier, przemknęła za nim i ukryła się za mężem, który, trzęsący się i na pół przytomny z przerażenia, zastawiał się krzesłem i mówił:

— Czego pan od nas chce? Czego pan sobie życzy?

Przybysz powtórzył tonem, w którym czuć było błaganie i zarazem groźbę:

— Musi mnie pan ukryć. Inaczej schwycą mnie.

Posunął się naprzód. Pan Przetakiewicz cofał się ze swem krzesłem, a za nim żona i chłopcy.

— Niech pan bierze wszystko, tylko niech pan nas nie zabija! — zawołała rozpaczliwie pani Helena.

— Ja nie jestem złodziejem! — odparł w rozpaczy obcy — ja państwu nic złego nie zrobię. Ale ukryjcie mnie. Inaczej za nic nie ręczę. W bójce zabiłem człowieka. Uderzył mnie pierwszy. Ja nie winien! Policya mnie ściga. Ja nie chcę iść do więzienia! Ukryjcie mnie!

Ostatnie słowa brzmiały tak groźno, że malcy, plącząc się u nóg rodziców, ryknęli płaczem.

— Dobrze — rzekł pan Przetakiewicz, któremu słowa przez ściśnięte lękiem gardło przechodziły z trudnością. — Bardzo chętnie, z przyjemnością. Ale gdzie?

Obcy powiódł oczyma po pokoju; wzrok jego zatrzymał się na wielkiej szafie mahoniowej, zapełniającej całą ścianę.

— Wejdę tam — rzekł. — Niech pan mnie zamknie i klucz schowa. Ale pan mię nie wyda? — dodał błagalnie.

Pan Przetakiewicz nie był w stanie odpowiedzieć i tylko ruchem ręki uczynił znak, że można mu ufać. Przybysz wszedł szybko do szafy, pan Franciszek przekręcił w zamku klucz i schował go do kieszeni.

W tej samej chwili na podwórzu ozwał się mocny gwar i hałas. Państwo Przetakiewiczowie, wciąż oszołomieni wypadkami, bezwiednie rzucili się ku oknu. Lecz jednocześnie u drzwi wchodowych zabrzęczał silnie pociągnięty dzwonek.

Pan Przetakiewicz drgnął nerwowo.

— Idź otworzyć — rzekł do żony.

Ona spojrzała nań z wyrzutem i po lekkiem wahaniu poszła. Chłopcy trzymali się uparcie jej sukni.

W przedpokoju dał się słyszeć stuk otwieranych drzwi i mnogie głosy. Pan Przetakiewicz czuł jak otucha w niego wstępuje, i odetchnął swobodniej.

W jadalni zjawił się rewirowy w otoczeniu dwóch stójkowych i stróża domu; za nimi tłoczyli się zwabieni zgiełkiem przechodnie.

— Szukamy zabójcy, który przed pościgiem wpadł do tego domu — rzekł rewirowy. — Czy nie ukrył się tutaj u państwa?

Pan Przetakiewicz wciąż nie mógł zdobyć się na odpowiedź. Policyanci wzięli jego milczenie za pełne zdziwienia przeczenie i chcieli już odchodzić, gdy on, porozumiawszy się szybko spojrzeniem z żoną, zatrzymał rewirowego. Dotknął palcem ust, objaśniając mu, że mówić nie może, i wyjąwszy klucz z kieszeni, wskazał na szafę.

Rewirowy, aczkolwiek nie rozumiejąc dobrze, o co chodzi, zbliżył się śmiało do szafy i otworzył ją. Wśród różnobarwnych sukien ukazała się wtulona w kąt postać zabójcy. Patrzył mętnym wzrokiem, czoło miał zroszone wielkiemi kroplami potu.

— Ot, złowili ptaszka! — zawołał radośnie rewirowy, ciągnąc go za rękę.

Twarze policyantów i stróża wyrażały również wesołość i zadowolenie.

Zabójca nie próbował się bronić. W milczeniu, z pochyloną głową, zajął miejsce między policyantami. Lecz nagle z oczu strzelił mu ciemny blask. Pełne nienawiści spojrzenie utkwił w panu Przetakiewiczu.

— Poczekaj, ty Judaszu! — rzekł, grożąc mu pięścią — ja ci odpłacę!

Przerwał mu rewirowy mocnym kułakiem w plecy.

Za chwilę w mieszkaniu państwa Przetakiewiczów było znowu spokojnie i zacisznie. Milczenie przerywał tylko tik-tak zegara. Samowar wygasł.

Z przybyłego tłumu pozostała tylko Maryanna, która jęła szeroko opowiadać, jak zobaczyła biegnącego przez ulicę zakrwawionego człowieka, jak ją potrącił, jak potem policya nie chciała jej wpuścić do bramy, aż dopiero stróżka musiała się za nią wstawić.

Pan Przetakiewicz usiadł przy stole i cichym głosem poprosił o szklankę herbaty. Podała mu ją prędko żona. Łyknął porządny haust, odetchnął głęboko i rzekł:

— Awantura!

Rozmowa stała się ogólną. Po kolei wszyscy, nie wyłączając Frania i Piesia, spowiadali się ze swych wrażeń. Pani Helena miała żal do męża, że zamknął ją w korytarzu ze złoczyńcą, który mógł był dopuścić się na niej w ciemności najhaniebniejszego gwałtu. Pan Przetakiewicz przyznał, dość niechętnie, iż na razie stracił przytomność umysłu. Podnosił natomiast swą zimną

krew, okazaną później, gdy stanął, za krzesłem, na przodzie całej rodziny. Chciał był także pochwalić się swą ulissesową chytrością, ujawnioną zamknięciem napastnika w szafie, lecz nagle w uszach zadźwięczały mu słowa: »Ty Judaszu!« — i urwał.

Rozmowa trwała do późna. Siła doznanych wrażeń była tak mocną, że państwo Przetakiewiczowie niedobrze spali tej nocy.

Nazajutrz zrana pan Przetakiewicz siedział jak zwykle przy kasie, śledząc pogodnem spojrzeniem ruchy subjekta, który odważał mieloną kawę, gdy do sklepu wszedł dawny znajomy i klient, stary radca magistratu.

— Proszę o pół funta herbatników, tylko prawdziwych angielskich — rzekł do subjekta.

— Moje uszanowanie panu radcy — odezwał się z poza kasy pan Przetakiewicz.

Pan radca przybliżył się doń i podał mu trzy palce. Wszczęła się rozmowa o pogodzie. Pan Przetakiewicz przerwał ją jednak prędko i westchnąwszy: Co to się teraz dzieje, panie radco, na świecie! — i opowiedział swój wczorajszy przypadek. Z początku mówił prędko i z zapałem, gdy doszedł jednak do momentu, w którym wskazał po cichu na szafę i oddał klucze rewirowemu, w uszach odbiły mu się znowu słowa: »Ty Judaszu!« — Zrobiło mu się dziwnie przykro i chcąc odmienić trochę fakta i przedstawić je w innem świetle, poplątał się w opowiadaniu.

Pan radca słuchał uważnie, tak jak słuchał dawniej raportów swoich podwładnych, którym nie ufał. Milczenie jego zmieszało do reszty pana Przetakiewicza.

— Przecież inaczej postąpić nie mogłem — zaczął się usprawiedliwiać, choć mu nikt zarzutów nie czynił. — Obowiązkiem uczciwego człowieka jest dopomagać wymiarowi sprawiedliwości.

Po długiej chwili milczenia pan radca odrzekł:

Naturalnie... naturalnie... Ale ja nie chciałbym teraz być w pańskiej skórze.

— A to czemu? — obruszył się pan Franciszek.

— Tacy zbrodniarze są okropnie mściwi. Dorżnie się, ale zemści. Miej się pan na ostrożności. Sąsiad mego kuzyna oskarżył parobka o kradzież. Skazali chłopa na trzy lata więzienia. Gdy odsiedział karę i wrócił, zaraz podpalił budynki dworskie i mój kuzyn ledwo z życiem ujść zdołał.

— Ten nie wróci! Za taką sprawkę całe życie będzie siedział.

— Panie Przetakiewicz! — odpowiedział zgryźliwie radca — i z więzienia się wraca. Zawsze radzę panu mieć się na ostrożności. Lecz co mnie to obchodzi! Moje herbatniki gotowe? Płacę... i do widzenia.

Słowa te zatruły spokój pana Przetakiewicza. Wciskały mu się w mózg zwolna i nieznacznie, ale bezprzestannie. Z początku były jak motyl, co zjawia się niewiadomo skąd, siada lekko na krawędzi kwiatu i za chwilę znika wśród krzewów i ziół. Niebawem jednak zmieniły się w ciężkiego nietoperza, który w okół jego myśli krążył bez końca. Zakuta dotychczas w ciasnem i jednostajnem życiu sklepowem wyobraźnia, nagle zagrała i wspomnienie zabójcy-mściciela osiadło na duszy pana Przetakiewicza niby gniotąca zmora. Próżno starał się bronić tym objawom »głupiej imaginacyi«, jak się pocieszał. Były one silniejsze od jego woli, ogarniały go coraz wszechwładniej. By osłabić ich siłę, próbował przelać część swego rozstroju na żonę i pewnego wieczora opowiedział jej cały szereg zmyślonych wypadków zemsty zbrodniarzy. W ten sposób jednak zbudził w pani Helenie ogromny lęk, który go podrażnił jeszcze silniej. Wezwano ślusarza, który zbadał w mieszkaniu zamki, dorobił nowy zatrzask i umocnił we drzwiach gruby łańcuch. Takiż sam przybito w kuchni. Lecz wszystko

to nie ukoiło obaw pana Przetakiewicza. W nocy nie mógł spać, w ciągu zaś dnia spoglądał wciąż z niepokojem ku otwartym drzwiom sklepowym. Na twarzy przybladł, w ciele — schudł. Obraz wysokiego chudego mężczyzny, o rozrzuconych bezładnie włosach i świecących ogniem oczach, stał mu ciągle przed oczyma. Czasem zdawało mu się, że słyszy za sobą wołanie: Ty, Judaszu! — i odwracał się, jakby nagłą sprężyną pchnięty. Gdy szedł ulicą, doznawał wrażenia, iż za każdym węgłem czyha nań zabójca z nożem w ręku. Próżno próbował rozstrój ten wyleczyć drogą rozumowania. — Przecież on mi nic nie zrobi, bo siedzi w więzieniu — tłumaczył sobie. — Zaś wyrzutów sumienia mieć nie mogę, bo raczej źlebym postąpił, ukrywając zbrodniarza przed sprawiedliwością. Możem źle uczynił obiecując, że go nie wydam. Ale musiałem tak powiedzieć, bo inaczej zamordowałby mnie, żonę i dzieci. Więc nie mam sobie nic do wyrzucenia.

Rozumowanie było przekonywujące, niepokój jednak wzmagał się bezlitośnie. Zarazem w duszy pana Przetakiewicza budziła się coraz potężniejsza ciekawość: gdzie przebywa obecnie złoczyńca, jaki los go czeka? Wreszcie nie mógł się obronić tej wewnętrznej mocy, która go pchała i poszedł do znajomego adwokata. Opowiedział mu całe zdarzenie, ozdabiając je w szczegóły, które jego zachowanie stawiały w świetle bohaterskiej odwagi i prosił o zasięgnięcie wiadomości o losie zbrodniarza. Adwokat nie wiedząc nazwiska zabójcy, zażądał pewnego czasu dla zoryentowania się wśród bieżących spraw sądowych. Obiecał przyjść natychmiast do sklepu, skoro poweźmie pewną wiadomość.

I znów przeszło parę tygodni, które panu Przetakiewiczowi dłużyły się nieznośnie. Troska podziałała na żołądek; zaczął chorować i gdy żona zastępowała go przy kasie sklepowej, on zamęczał synów zgryźliwo-

ścią. Każde uderzenie dzwonka w przedpokoju napełniało go bezmiernym lękiem. Przywołany przez panią Helenę lekarz oświadczył, że serce nie jest w porządku i doradzał życie spokojne, bez silnych wrażeń. Pan Przetakiewicz uśmiechnął się gorzko i kiedy doktor wyszedł, pogroził mu pięścią:

— Idyota! Niby ja pragnę czego innego!

Pewnego dnia zjawił się adwokat i z tryumfującą miną objaśnił, że odnalazł sprawę. Michał Czerwonka, robotnik fabryczny, który dokonał zabójstwa w szynku narożnym, będzie sądzony nazajutrz.

Pan Przetakiewicz nie zmrużył oka przez całą noc. Wstał wcześnie, a wypiwszy ranną herbatę, ubrał się ciepło i pojechał do sądu.

Przybył na sam czas. Sprawa, która mu zmąciła równy bieg życia, była pierwszą i już się rozpoczęła. Mimo kwaśnych min i niechętnych spojrzeń tych, co przyszedłszy wcześniej, wygodniejsze miejsca zajęli, pan Przetakiewicz przecisnął się w pobliże sądu. Niedaleko, w zamkniętej ławie, między dwoma żołnierzami o obnażonych pałaszach, siedział oskarżony. Pan Przetakiewicz poznał go natychmiast, lubo zmieniały go uczesane starannie włosy i pewien apatyczny spokój bladej, lecz pełnej twarzy. Pan Franciszek z gniewnem zdumieniem spostrzegł, że kiedy na nim kamizelka i surdut wisiały jak na kołku, niegodziwiec, który mu zatruł żywot, nabrał w więzieniu tuszy, wyraźnie utył.

Mówił prokurator. Pana Przetakiewicza zdejmowała coraz mocniejsza złość i nienawiść względem zabójcy i niekontent był z oskarżenia prokuratora, które wydawało mu się niedość ostrem. Michał Czerwonka słuchał bez śladu wzruszenia, jak gdyby to nie o niego chodziło. Więzienie wywarło nań wpływ, ukoiło pierwszą rozpacz, obezwładniło. Pan Przetakiewicz wpatrywał się w niego, wpatrywał...

Nagle zabójca spojrzał w jego stronę i zatrzymał na nim swój apatyczny wzrok, jakby przypominając zatarte wspomnienia. Pan Przetakiewicz doznał uczucia, jak gdyby mu plecy przeszyła zimna stal. Wysiłkiem woli spróbował wyjść, lecz obok siedzący zastawili przejście i pochmurnym szmerem zmusili go do pozostania. Trzęsące nogi zgięły się i pan Przetakiewicz upadł raczej na swe miejsce, niż usiadł.

Proces szedł zwykłym trybem. Po prokuratorze przemówił adwokat, młody człowiek, mianowany widocznie obrońcą z urzędu. Był to prawdopodobnie jego pierwszy występ, pragnął więc olśnić sędziów i publiczność blaskiem wiedzy i wymowy. W długim wstępie o pokładzie filozoficznym cytował gęsto Lombrosa i Ferriego, zaczął nawet tłómaczyć teoryę *mattoidów*, gdy prezes sądu, nie w humorze, przerwał mu dość szorstko:

— Nam tu wykładów literatury nie potrzeba. Przystąp pan do rzeczy.

Na twarzach sędziów pojawił się lekki, dyskretny uśmiech, pochwalający i podkreślający zarazem dowcip przewodniczącego. W sali objawy wesołości były żywsze. Woźny, szanując śmiech, który wywołały słowa pana prezesa, pobłażliwie, lecz stanowczo wezwał publiczność do zachowania spokoju. Najgłośniej śmiał się pan Przetakiewicz. Obrońca gniewał go i drażnił: Co tu bronić jakiegoś zbrodniarza, który nawet honoraryum nie zapłaci!

Młody adwokat, straciwszy wątek wyuczonej na pamięć mowy, urwał i stał w bezradnem milczeniu, starając się nawiązać rozprószone myśli. Śmiech publiczności zmieszał go do reszty. Nie siląc się już na przypomnienie dźwięcznie dobranych frazesów, jął improwizować swą obronę niezgrabnie i banalnie.

Gdy jąkał się, przewodniczący z pełną ironii uprzejmością podpowiadał mu brakujące wyrazy. Publiczność

bawiła się; pan Przetakiewicz czuł się raźniejszym i pewniejszym siebie.

Oskarżony nie zdawał sobie sprawy, o co chodzi, i widząc wokoło rozjaśnione twarze, uśmiechał się także. Spojrzenia jego jednak kierowały się ciągle w stronę pana Przetakiewicza i wyraźnem było, że myślą uparcie pracuje nad pytaniem, skąd mu ta twarz znajoma.

Niebawem sędziowie wyszli na naradę. W sali powstał przyciszony szmer rozmów. Pan Przetakiewicz, aby uniknąć wzroku zabójcy, odwrócił się ku sąsiadowi z lewej strony i zaczął uważnie przysłuchiwać się jego opowiadaniom o sprawach sądowych, na których był obecny. Ale za chwilę woźny zawołał: Proszę wstać, sąd idzie! Uczyniło się milczenie. Prezes odczytał wyrok, skazujący Michała Czerwonkę według takich i takich paragrafów.

Jeden z sąsiadów pana Franciszka, obeznany z prawem, tłómaczył osnowę wyroku.

Pan Przetakiewicz słuchał z zapartym tchem. Gdy mu się obiły o uszy wyrazy: »dożywotne więzienie«, poczuł, jak ciężki kamień spada mu z piersi, i odetchnął szeroko.

Młody adwokat zbliżył się do Czerwonki, który wciąż zdawał się być najlepszej myśli, i ze smutną miną, półgłosem, objaśnił go.

Czerwonka dopiero teraz pojął, jaki los zapadł dlań w tej sali, która przed chwilą pełna była śmiechu. Jego twarz skrzywiła się wyrazem bezdennej rozpaczy.

Nagle wzrok pana Przetakiewicza i Michała Czerwonki skrzyżował się; pan Przetakiewicz spuścił oczy; Czerwonka poznał go. W spojrzeniu, którem go teraz przeszywał, tkwiła taka nienawiść, palił się taki zły ogień, że pan Przetakiewicz, nie mogąc go znieść, pochylony i zgarbiony, wcisnął się czemprędzej w tłum wychodzących ze sali sądowej. Zdawało mu się, że Czer-

wonka woła za nim: »Ty, Judaszu!« i że wszyscy spoglądają nań z pogardą.

Na ulicy odzyskał równowagę. — Niech go dyabli porwą! Teraz będę miał spokój! — Rzeźwiejszym krokiem poszedł do sklepu. Przez kilka dni czuł się znacznie lepiej. Gdy raz po południu przyszedł do sklepu radca po zakupy, pan Przetakiewicz pochwalił się:

— Co tam pan radca mię straszył! Ów zabójca, którego aresztowali w mojem mieszkaniu, skazany na dożywotne więzienie.

Radca obrzucił go zgryźliwym wzrokiem.

— Czy ja pana chciałem straszyć? Ostrzegałem tylko. I teraz powiem to samo: Miej się pan na baczności. I z więzienia ludzie uciekają. Mogę panu przytoczyć zresztą przykład...

Opowiedział mu kilka wypadków, w których skazani uciekli z więzienia i wróciwszy do rodzinnych stron, przedewszystkiem wywarli zemstę na swych wrogach.

— Ale co ja tam panu będę mówił — kończył — przecież mnie to nic nie obchodzi.

Gdy radca wyszedł, pan Przetakiewicz uczuł nagle piekące bole w żołądku. Subjekci musieli go wsadzić do dorożki i odwieźć do domu.

I znowu rozpoczęły się męki. Drażniący, okrutny niepokój obejmował pana Przetakiewicza coraz wszechmocniej. Po nocach nie mógł spać, apetyt stracił doszczętnie. Gorączkowe obrazy targały bezustannie zwichrzoną wyobraźnię. Gdy znużony i rozstrojony chciał wypocząć, przerażające sny nękały go bezlitośnie. We wszystkich figurował Michał Czerwonka. Najprzykrzejszem jednak było dla pana Franciszka, że nie miał nawet przed kim zwierzyć się ze swych męczarni. Panią Helenę strach przed zemstą wydanego złoczyńcy dawno minął i gdy próbował wszczepić go w nią na nowo, wyśmiała go. Odtąd wstydził się mówić jej o przyczy-

nach swego rozstroju. Tem bardziej nie byłby powiedział prawdy doktorowi, który go na wezwanie pani Heleny znowu odwiedził. Tak minęło kilka tygodni. Pewnego ranka pan Przetakiewicz wybrał się do swego adwokata. Jąkając się i plącząc w rozmowie, prosił go, by zasięgnął wiadomości o Michale Czerwonce, czy nie apeluje od wyroku. Adwokat, widząc jego pomieszanie, nie zadawał żadnych pytań, uczynił tylko minę bardzo przenikliwą i dyskretną. W rzeczywistości nabrał przekonania, że ów zabójca jest jakimś blizkim krewnym kupca i że w tej sprawie musi tkwić potężny dramat rodzinny. Obiecał tegoż samego dnia dowiedzieć się, a widząc osłabienie i rozstrój pana Przetakiewicza, zapowiedział, iż, aby go nie fatygować, przyszle doń wieczorem dependenta z wiadomością.

Przez cały dzień pan Przetakiewicz nie mógł usiedzieć na miejscu. Ciągle spoglądał na zegar, dziwiąc się, że godziny tak wolno mijają. Dopiero koło ósmej zjawił się brudny dependent, w nizkim, poczochranym cylindrze i oświadczył z bolesną miną, że Michała Czerwonkę musiano przewieźć do szpitala więziennego, ponieważ zapadł ciężko na zdrowiu.

— Cóż mu jest? — spytał pan Franciszek.

— Zdaje się, że zapalenie mózgu — odparł ponuro dependent.

Trzęsącą się ręką pan Przetakiewicz wyjął z portmonetki pieniądz i wcisnął go w dłoń dependenta.

— Panie szanowny — rzekł — czyby pan tak nie chciał przynosić mi codzień krótkiej wiadomości o zdrowiu tego... Czerwonki. Jabym chętnie ofiarował za każdym razem papierka.

Dependent się zgodził, i odtąd codzień wieczorem odwiedzał pana Przetakiewicza. Wiadomości były złe.

Teraz nocami panu Przetakiewiczowi śnił się szpital więzienny, ciemny i posępny, pełen bolesnych ję-

ków, westchnień i chrapliwych przedśmiertnych oddechów, a w którym on sam na wązkim tapczanie leżał, zdjęty niemocą. Natomiast w dzień pana Przetakiewicza nie opuszczała myśl, że Czerwonka może umrzeć, a on sam wówczas odzyska dawny spokój i równowagę. I czuł się tak rozstrojonym i podnieconym, że chwilami aż powietrza mu brakło, duszność ciężka siadała mu na piersiach i głowę ogarniały dziwne zawroty.

Przeszło parę dni. Pewnego wieczora zegar wydzwonił już ósmą, a dependenta nie było. Pan Przetakiewicz chodził nerwowym krokiem wokół stołu; Franio i Piesio, przerażeni pochmurną twarzą ojca, siedzieli cicho przy herbacie, ledwo śmiejąc stuknąć łyżeczką w szklankę. Pani Helena zmartwiona spoglądała na męża i wzdychała. Ozwał się dzwonek. Wszyscy drgnęli; pan Przetakiewicz pobiegł do przedpokoju. Na progu ukazał się adwokat. Uścisnął mocno rękę pana Przetakiewicza i rzekł głosem, w którym dźwięczała nuta serdecznego współczucia.

— Wiem, że panu mój pomocnik przynosił codzień wiadomości. Ale dziś zaszedł wypadek ważny. Chciałem go panu sam zakomunikować.

Panu Przetakiewiczowi błysnęła w głowie myśl, że Czerwonka uciekł z więzienia. Nogi zachwiały się pod nim, a jednocześnie czuł, że mózg mu kołuje. Oparł się o ścianę, by nie upaść.

— Chodźmy do gabinetu — rzekł przyciszonym głosem.

I poszedł pierwszy. Adwokat, nie rozbierając się, podążył za nim. Pan Przetakiewicz zapalił lampę, zaś adwokat zamknął drzwi.

— Panie Przetakiewicz — rzekł — musi pan przygotować się na bolesną wiadomość.

Panu Franciszkowi zabrakło oddechu.

— Co się stało? — szepnął.

— Michał Czerwonka dziś rano umarł.

Z piersi pana Przetakiewicza wyrwał się krótki okrzyk i nagle całym korpusem padł w tył. Adwokat rzucił się, by go podnieść. Hałas padającego ciała usłyszała pani Helena i sapiąc ciężko, zjawiła się we drzwiach. Adwokat starał się ułożyć jej męża na kanapie.

Pan Przetakiewicz nie żył.

Długo potem adwokat cytował ten wypadek, jako jeden z najdziwniejszych w swem życiu.

— Rzecz nie do zrozumienia — opowiadał. — Przyniosłem klientowi żałobną wieść — tak bolesną, że go zabiła na miejscu. A tymczasem, w chwili agonii, jego twarz wykrzywiła się śmiechem.

Dziwne zdarzenie.

Słońce zniknęło w przestrzeni, znacząc swoje ślady purpurowemi blaski. Błękit nieba czynił się szarym i ciemniał; zapadał zmrok.

Na ulicach przedwieczorny ruch zwiększał się, tętnił przyspieszonym pulsem. Pojazdy tłoczyły się bezładnie i mijały z trudnością wśród hałaśliwych nawoływań woźniców; na szerokich chodnikach tłum przechodniów mnożył się i gęstniał. Pan Konstanty wyszedł na bulwar i odetchnął z zadowoleniem atmosferą bujnego, gorączkowego życia. Czuł się mocniejszym i raźniejszym. Przejrzał się w wielkiej kryształowej szybie sklepowej wystawy i jego dobry humor wzrósł; widział się przystojnym i wytwornym. Poczucie własnej wartości podnieciło go, zaświeciło jaśniejszym ogniem w oczach. Przesunął ręką po ciemnej długiej brodzie, na której poczynał osiadać srebrzysty szron, poprawił błyszczący cylinder na głowie i wmięszał się żwawo w tłum, płynący chodnikiem.

Lecz pan Konstanty nie spieszył się wcale. Kiedy inni przechodnie, o twarzach zaprzątniętych i skłopotanych, biegli prędko, obojętni na otaczający ich ruch i gwar, pochłonięci całkowicie przez obowiązki i nadzieje codziennej walki o byt — on szedł wolno i spo-

kojnie. Ów tłum, męczący się i znojący, w ciągłej pogoni za zyskiem i zarobkiem, budził w nim pobłażliwą pogardę. Rozumiał, że tak być powinno, że istnieć muszą tysiące i miliony ludzi, pracujących w pocie czoła na chleb powszedni — ale jednocześnie on, bogaty i niezależny, on, którego białe, arystokratycznie długie i cienkie palce nie splamiły się nigdy zarobkowaniem — on czuł się wyższym ponad to szare mrowisko.

Październikowy przedwieczór tchnął nieskończoną słodyczą; powietrze nasycone było wilgocią, którą parowała zmoczona niedawnym dżdżem ziemia. Lekki wietrzyk niósł zmysłowe, drażniące zapachy ostatnich dni jesiennych. Pan Konstanty szedł wśród ulicznej ciżby, zadowolony z życia i z siebie. Na mijających go mężczyzn mało zwracał uwagi, natomiast kobietom śmiało zaglądał w oczy, obejmował je bystrem spojrzeniem, które jednym rzutem oceniało urodę, obnażało. Był to wzrok znawcy i zdobywcy. Mimo długich lat używania, pan Konstanty pozostał młodym i silnym, zawsze gotowym pragnąć i używać. Widok ponętnej kobiety budził w nim natychmiast gorącą chęć uczynienia z niej swojej zdobyczy; ponieważ zaś rościł sobie prawo do rozkoszy i szczęścia tam, gdzie je widział, więc nie wahał się nigdy przed usiłowaniami, by cel swój osiągnąć.

. . . Spojrzenia jego atoli biegły, lecz nie zatrzymywały się. Spotkane kobiety były dlań brzydkie, bez smaku ubrane, w ruchach niezgrabne — u innych raziły go lica sztucznie ubarwione, usta nazbyt czerwone, wyzywające i czelne uśmiechy.

— Dawniej każda nieznana kobieta miała dla mnie pociągający urok — rozmyślał pan Konstanty. — Dlaczegoż obecnie tak mało mi się podobają? Kobiety nie zmieniły się... Ale zmieniłem się ja... Postarzałem się... Wyobraźnia moja stała się twardszą, mniej czułą... Postarzałem się...

Pan Konstanty śmierci nie obawiał się. Myśli jego nie sięgały nigdy poza tajemnicze krańce istnienia ludzkiego. Poco więc dręczyć się zagadnieniem, którego nie rozwiążę, kiedy w życiu, które znam, jest tyle dobrego! Rozumiał jednak, iż ze słodyczy życia może korzystać tylko organizm młody i zdrowy, i dlatego widmo starości, coraz bliższej, nieuniknionej, przejmowało go trwogą i bolem. Czuł, że fundamenty, na których zbudował swe życie, chwieją się i zwolna, lecz bezprzestannie, usuwają mu się z pod nóg. Zdawał sobie sprawę, że wszelka walka byłaby płonną; ta świadomość jednak nie budziła w nim rezygnacyi, ale przeciwnie, wzmagała niepokój.

Przechadzka, rozpoczęta w doskonałem usposobieniu ducha, czyniła się posępną. Wspomnienie przeszłych lat, nasunąwszy niekorzystne porównanie z teraźniejszością, jęło napełniać umysł pana Konstantego smutkiem. Jednocześnie ogarniała go coraz silniejsza nuda. Przewidywał obiad, spożyty samotnie, i długi, długi wieczór, równie samotny. Oczy pana Konstantego straciły blask, stały się szkliste i blade. Szedł wolniej, ociężale.

Nagle powonienie jego uderzyła silna fala zapachu konwalii. Obejrzał się szybko i dostrzegł szczupłą postać kobiecą, wciskającą się zręcznie w tłok przechodniów, tak zręcznie, że w jednej chwili tłum ich rozłączył. Ale dziwna rzecz! Woń konwalii pozostała przy panu Konstantym, czuł ją wokół siebie. Przyspieszył kroku, ciżba utrudniała chód. Nie tracił jednak z oczu nieznajomej. Choć nie widział już całej jej postaci, to jednak odróżniał wyraźnie czarny, duży kapelusz i pod nim, obfity zwój popielatych włosów.

Pchał się niecierpliwie naprzód, nie zważając na ostre spojrzenia oraz gniewne wykrzykniki potrącanych przechodniów. Mimo to nie był w stanie zmniejszyć przestrzeni, która oddzielała go od nieznajomej. Ona

przesuwała się wśród ścisku lekko i łatwo. Zapach konwalii trwał ciągle...

Pan Konstanty zauważył, że zapach ten nie był mu obcy, że oddychał nim już kiedyś, że był mu nawet może bardzo drogim. To nie był zresztą czysty zapach kwiatu lub perfum, tkwiła w nim ciepła woń kobiecej sypialni, zmysłowa i odurzająca. Pan Konstanty doznawał podniecenia, jakiego dawno nie pamiętał. Tłum, ruch uliczny, miasto całe, przestały dlań istnieć! Widział przed sobą tylko szybko niknącą nieznajomą i pragnął ją dogonić!

Wytężał wzrok, aby ujrzeć jej twarz, ale napróżno, bo ona biegła, nie odwracając się wcale. Raz zdawało mu się, że dostrzegł jej zgubiony profil. Serce zabiło mu żywiej.

— Co za bajeczne podobieństwo! I ten zapach konwalii, ten sam zupełnie!

W pamięci przesunął mu się daleki obraz uroczej sielanki, zakończonej tak niespodziewanym i strasznym dramatem. Nina! biedna Nina, która rozkoszną komedyę miłości wzięła na seryo!

Es ist eine alte Geschichte
Doch bleibt sie immer neu,
Und wem sie just passirte,
Dem bricht das Herz entzwei...

— Co za bajeczne podobieństwo! — powtórzył pan Konstanty i znowu przyspieszył kroku. Lecz również i nieznajoma poruszyła się chyżej i odległość dzieląca ich pozostała wciąż jednakową.

Nina! Ów niezwykle bolesny ranek, nazajutrz po zerwaniu, kiedy powiadomiony o jej rozpaczliwem szaleństwie, party bezwiedną siłą, znalazł się w wązkim zaułku, przed wysoką, posępną w swym koszarowym ogromie kamienicą. Kilka kobiet opowiadało hałaśliwie

szczegóły wypadku, raz spoglądając w otwarte okno na trzeciem piętrze, to znów wskazując ostre kamienie bruku. Na kamieniach czerwieniła się szeroka, wilgotna jeszcze plama krwi...

— Jak ona prędko biegnie! Czyżbym nie zdołał jej dogonić?

Zmrok zapadał prędko. Światła w sklepowych wystawach i oknach domów mnożyły się bez liku. Ciemniejący błękit widnokręgu poczęły przekłuwać blade punkty gwiazd, niby jasno-złote gwoździe, podtrzymujące wysoko strop nieba. Miasto huczało i wrzało podniecone życiem, nadchodząca noc zdawała się wzmagać niepokój i gorączkę. Stłoczone szeregi powozów i omnibusów sunęły z trudnością środkiem ulicy; chodnikiem płynął zwarty, ruchliwy tłum — olbrzymie, bezkształtne cielsko, pełzające wydłużonymi członkami w mglistej pomroce. Z dalekiej kawiarni, jaśniejącej silnym blaskiem elektrycznych lamp, dochodziły przytłumione dźwięki radosnego marsza. Krzyki, nawoływania, gwar rozmów i śmiechów, mięszały się bezładnie z turkotem pojazdów i oderwanymi tonami muzyki i jak jeden wielki chorał, monotonny w brzmieniu, potężny i ogromny, podnosiły się nad miastem wraz z brunatnymi dymami tysiącznych kominów i żółtawą łuną świateł.

Pan Konstanty nie słyszał i nie widział, co się działo w około niego. Chęć ujrzenia zblizka nieznajomej, owładnęła nim wszechsilnie i przeciskał się wśród tłumu z uporem lunatyka. Ale pomimo gorączkowych usiłowań odległość nie zmniejszała się wcale. Widział wciąż przed sobą wielki, czarny kapelusz i wyłaniające się z pod niego, splecione w gruby węzeł popielate włosy, próżno jednak przyspieszał kroku, szedł coraz prędzej; nieznajoma przemykała się z równą szybkością, sunęła przed nim niepowstrzymanie.

Już nie potrafił zdać sobie sprawy, jak długo ta dziwna gonitwa trwała. Niebawem bulwar jął czynić się cichszy i ciemniejszy. Na trotuarach przechodnie stawali się rzadszymi.

— Teraz dogonię ją z łatwością — pomyślał pan Konstanty.

I począł biedz. Lecz i tajemnicza postać mknęła szybciej. Wtem skręciła w wązką uliczkę, która przecinała bulwar. Pan Konstanty stracił ją na chwilę z oczu. Gdy z zapartym oddechem dopadł do rogu, ujrzał ją znowu sunącą ciasnym chodnikiem, tak blizko ścian domów, iż na razie wydała mu się cieniem, ślizgającym się wzdłuż muru. Ale nie, to była ona. Teraz zbliżał się, odległość widocznie zmniejszała się. Poskoczył żywiej, ciemna postać zniknęła nagle. Pan Konstanty zatrzymał się: stał przed poczerniałym ze starości kościołem.

Bez wahania wkroczył przez wysoki portal do kruchty, pchnął ciężkie drewniane drzwi i wszedł do świątyni.

Długie prostokątne nawy gubiły się w mroku. Ostrołukowe okna świeciły polichromią barwnych szkieł, leniwie cedzących z zewnątrz blaski zamierającego dnia. Przyścienne filary i boczne ołtarze niknęły w ciemni. Jedna zapalona lampka, czerwona, samotna, połyskiwała smętnym ogniem. W kościele panowała kamienna cisza.

Pan Konstanty zatrzymał się w pobliżu drzwi. Próżno szukał oczyma nieznajomej. Szeregi ławek, zapełniające środkową nawę, były puste, na okalających ołtarze schodach nie klęczał nikt. Postąpił naprzód i odgłos jego kroków ozwał się głuchym łoskotem. Onieśmielony, przystanął. Już dawno nie znajdował się w kościele, nigdy nie był w nim o zmierzchu, i w podnieceniu nerwowem, które ogarniało go coraz wszechmożniej, tem silniejsze wrażenie wywierała powaga nastroju. Brunatne w pomroce ściany i sklepienia przygniatały go

tajemniczą potęgą. Naprożno uspokajał rozwichrzone nerwy: Jej tu niema i być nie może. Padłem ofiarą dziwacznego złudzenia, z którego należy otrząsnąć się i rozbudzić! Nieokreślona trwoga rosła, nie śmiał poruszyć się ani obejrzeć. Czuł, że nogi pod nim sztywnieją, ramiona stają się ciężkie, umysł traci jasność sądu i świadomość...

... Nagle i bezwiednie znalazł się w ciasnej, dębowej klatce konfesyonału. Jaka siła go tu pchnęła — nie wiedział. Ściany konfesyonału czyniły wokół niego ciemnicę i tylko w górze spostrzegał jaśniejsze smugi bladego światła, błąkającego się po szczytach gotyckiego sklepienia, niespokojne i smutne, jak wędrowne ptaki, naglone do odlotu, gdy im tęskno opuszczać chwilową siedzibę. Wreszcie znikły. Z głębi nawy, z poza wielkiego ołtarza, poszło lekkie, stłumione westchnienie, niby echo dawno-przebrzmiałych modłów, i zamarło...

Głucha, nieskończona cisza zdawała się złożoną z dziwnych odgłosów, których pan Konstanty nie słyszał, ale które c z u ł. Przytem doznawał wrażenia, że świątynia napełnia się niewidzialnemi postaciami, które krążą wokoło niego, tłoczą się za węgłami murów, w zagłębieniach kaplic. Twarz jego musnął świeży, chłodny powiew, niby dotknięcie skrzydła niedostrzegalnego. Poruszył się gwałtownie. W kościele panowała kamienna cisza.

Bezmierny lęk okrył czoło pana Konstantego zimnym potem, zjeżył mu na głowie włosy. Teraz od prezbyteryum zbliżała się o n a... Martwego milczenia nie przerywał najlżejszy szmer, pan Konstanty jednak czuł i w i e d z i a ł, że idzie, że jest niedaleko, tuż, tuż... Dziwne omdlenie obezwładniało wszystkie jego członki. Bezwiednie pochylił się ku okienku i zastygły, bez ruchu, przymknął oczy...

Minęła długa chwila okrutnego oczekiwania... Pan Konstanty rozumiał, że musi nastąpić coś niezwykłego; świadomość ta potęgowała jego rozstrój. Lecz nieznośne milczenie przeciągało się, kościół zalegała złowroga cisza i noc.

— Już jest na schodach... Teraz klęka... Dlaczego nie słyszę jej kroków, ani szelestu sukni?... Czemu nie mówi?...

W mózgu pana Konstantego zwiększał się chaotyczny wir. Czuł, że jest bezsilną igraszką jakiejś tajemniczej mocy i nie próbował nawet bronić się lub uciekać przed tem, co nastąpić musiało. Pragnął tylko, by męczarnie skróciły się, skończyły jak najprędzej.

— Niech będzie co chce, ale niech raz będzie... Niepewności dłużej nie przeniosę...

W tem wokół niego rezeszła się lekka woń konwalii. Pan Konstanty pojął, iż stanowczy moment nadszedł. Na pół przytomny, osunął się w kąt. W zakratowanem okienku konfesyonału zabrzmiało trzykrotne, urywane stuknięcie...

I znowu nastąpiła krótka chwila ciszy. Zapach konwalii jednak stawał się mocniejszy, odurzający, mieszał się z ciepłą wonią kobiecego ciała. Nagle ozwał się cichy, ledwo dosłyszalny szmer i zwolna, zwolna przemieniał się w wyraźniejszy szept. Pan Konstanty nie wiedział, skąd dobywa się ów stłumiony głos, ale rozróżniał coraz dokładniej jego matowe dźwięki.

— Kochałam go — kochałam więcej niż życie... Dusza moja spoiła się z nim... Nie mogłam przenieść rozstania... Gdy pierwszy raz spojrzał na mnie i przemówił, stałam się jego rzeczą...

Pan Konstanty słyszał wyraźnie szept. Teraz, mimo ścian konfesyonału, zdało mu się, iż widzi klęczącą postać Niny, tulącej się ku niemu. Z widzeniem tem Niny ciemno ubranej, osłoniętej długą peleryną, poczęło się

kojarzyć inne wspomnienie, równie dokładne — Niny kryjącej zrumienioną twarz w dłoniach, Niny wiosennie świeżej, pięknej i ponętnej. Wyciągnął ręce, by ją przyciągnąć. Dłonie jego spotkały pustkę. Rozwarł oczy, i krzyk okrutnego przerażenia zamarł mu w gardle, ścisnął bezlitośnie krtań. W okienku konfesyonału ujrzał trupią, blapą twarz Niny, z wyżartemi na miejscach oczu dołami, twarz okropną, bolesną.

— Kochałam go, dusza moja spoiła się z nim...

Pchnął silnie drzwi i wyskoczył z konfesyonału. Przetarł oczy, błędnym wzrokiem powiódł dokoła.

— Co ja tu robię? Jakim sposobem znalazłem się w konfesyonale? I to widziadło, ten szept... Byłażby to hallucynacya?...

I choć serce wciąż zamierało z lęku, pan Konstanty począł się uspokajać.

— To było chorobliwe przywidzenie, nic więcej... Tam, za konfesyonałem nie było nikogo...

Noc czyniła się zupełną, a w tajemniczym mroku kościół potężniał i olbrzymiał. Smukłe kolumny, pochylone w górze ku sobie, tłoczyły się w zwartych szeregach, milczące, wyniosłe. W dalekiej głębi jedna zgubiona lampka świeciła migotliwym ognikiem samotna i posępna. I cisza — cisza...

— Wyjść stąd, uciec jak najprędzej!...

Pan Konstanty nie wychodził jednak. Wstrzymywała go chęć, przed którą próżno się bronił, chęć przekonania się naocznie, że zjawisko za konfesyonałem było złudą, urojeniem. Wahał się i bał, i równocześnie czuł, że musi pójść na to miejsce, spojrzeć, zobaczyć... Wreszcie sztywnym krokiem posunął się naprzód.

Nie było nikogo. Schodki przy konfesyonale były zupełnie puste...

Wtem pan Konstanty zatrząsł się i zatoczył. Krew spłynęła mu do serca, czoło zmroziło się lodowatą rosą.

Opodal konfesyonału, na szarej kamiennej posadzce znaczył się ślad przyschłej, czerniejącej już krwi... Ta sama wielka, krwista plama, jaką przed laty widział tam, na bruku wązkiego zaułku, przed posępną w swym koszarowym ogromie kamienicą... Ostry, nieludzki krzyk wydarł się z piersi i pan Konstanty począł biedz... biedz...

Nie potrafił zdać sobie sprawy, kiedy znalazł się na zewnątrz kościoła. Czarny strach siedział mu na karku, czynił bezmyślnym i ślepym. W szalonym pędzie minął ciasną uliczkę, wypadł na bulwar i sunął dalej, nie śmiąc obejrzeć się, gnany niezmiernym lękiem...

Wreszcie zwolnił kroku. Bulwar stawał się pełnym i żywym, tysiące świateł jarzyło się wkoło, środkiem ulicy turkotały pojazdy, na chodnikach mrowił się gęsty tłum. Pan Konstanty odetchnął szeroko. W uszach brzęczał mu jeszcze głuchy szum, skronie paliły się gorączką, ale pomału uspokojenie jęło schodzić do rozkołatanego umysłu. Zdobył się nawet na blady uśmiech i rzekł tak głośno, że aż zdziwieni przechodnie zwrócili nań uwagę.

— Dziwne zdarzenie!...

I kilkakrotnie powtórzył w zamyśleniu, jakby źle rozbudzony z przykrego snu.

— Dziwne zdarzenie...

Poczem, bojąc się samotności, powlókł się na obiad do klubu.

DOGARESSA.

Niebo było ciemne i bezgwiezdne, chłodny deszcz siekł niemiłosiernie. Tryjest niknął w mroku. Znaczyły go tylko żółte i niebieskawe światła, stłoczone na nizkiem wybrzeżu, rzadziej rozrzucone na stokach wzgórz. Po oślizgłych schodkach zszedłem z pokładu do sali restauracyjnej.

Tutaj było pełno i gwarno. Liczne towarzystwo komiwojażerów niemieckich siedziało przy piwie. Rozmawiali zbyt głośno i śmiali się nieszczerze, udając, iż podróżują dla przyjemności. Lecz w spojrzeniach, któremi obrzucali innych podróżnych, widoczny był szacunek i zazdrość. Zająłem miejsce przy jednym ze stołów. Chuda i anemiczna Niemka tuliła się do młodego i opasłego Prusaka. Przybierała pozy oleodrukowe *Enfin seuls,* które miały świadczyć, iż odbywa podróż poślubną. On znosił jej brzydkie pieszczoty z milczącą rezygnacyą. Naprzeciw liczna rodzina spisywała już wrażenia podróżne na kartach ilustrowanych. Posługacze okrętowi kręcili się z pakunkami, roznosząc je po kajutach.

Usłyszałem z tyłu miękki szelest spodnic jedwabnych. Opodal usiadła wysoka i kształtna kobieta; z ruchów swobodnych i wdzięcznych łatwo można było poznać, że nie była Niemką. Uwagę zwracała złocistymi,

bardzo bujnymi włosami, które wysuwały się niesfornie z pod słomianego kapelusza. Nie wydawała się młodą ani piękną. Twarz miała owalną, szczupłą i śniadą; wązkie usta były blade, jasne oczy, podkreślone sinemi obwódkami, zdradzały znużenie. Nie patrzyła na nikogo, obojętna i dumna jak dogaressa...

Nieznośny zgrzyt łańcuchów ustał i parowiec zakołysał się lekko. Spojrzałem przez okno. Latarnie przystani jęły uciekać, naprzód zwolna, potem coraz prędzej. Statek ruszył. W tej samej chwili w wązkich drzwiach wchodowych ukazał się młody brunet, ubrany wykwintnie. Niecierpliwym, spiesznym wzrokiem objął salę; spojrzenie jego spoczęło na mojej sąsiadce, czarne oczy zaświeciły radośnie, w nagłym uśmiechu błysnęły białe, zdrowe zęby. Zbliżył się szybko z kapeluszem w dłoni i powitał półgłosem. Ona wyciągnęła doń obnażoną rękę, długą i rasową. Mówili po włosku.

Właściwie mówił tylko młodzieniec. Z jego ust wybiegały potoki słów, które czasem brzmiały prosząco, niemal błagalnie, to znów pieściły jak pocałunki. Nieznajoma słuchała. Twarz jej powlekała się purpurą, wargi przybierały wiśniową barwę a cienkie nozdrza drgały nerwowo. W pociemniałych oczach zapalały się żółtawe ogniki. Stała się prawie piękną. Dom, który w pomroce wieczornej wydaje się pustkowiem, a w którego oknach zajaśniały nagle światła...

Niebawem sala restauracyjna zaczęła się opróżniać. Podróżni rozchodzili się po kajutach. Młody Włoch przekonywał wciąż, prosił, składał ręce jak do modlitwy. Na ustach kobiety błąkał się uśmiech zagadkowy i drażniący. Wreszcie pochyliła się ku młodzieńcowi i szepnęła kilka słów. On przycisnął szybko jej rękę do ust. Potem mówił już więcej oczyma niż ustami.

W kilka minut później sąsiadka moja podniosła się z miejsca, objęła nieufnym wzrokiem salę, w której

było już tylko kilka osób i wyszła wolno. Młody Włoch został sam. Spojrzał niecierpliwie raz i drugi na zegarek. Wreszcie ruszył w ślad za dogaressą.

. . . Ranek był szary. Z zielonawej roztoczy morskiej wyłaniała się Wenecya, coraz wyraźniejsza i coraz bliższa. Słychać było dzwony. Posługacze wynosili z kajut rzeczy podróżnych. Jej nie było na pokładzie. Nie myślałem zresztą o niej, mając przed sobą cudne miasto z bajki. Wokół statku zaczęły już krążyć czarne gondole. Parowiec zagwizdał przeraźliwie i nad Piazettą wzniosła się chmura gołębi...

. . . Wieczór był ciepły i bezwietrzny. Moja gondola płynęła cicho wraz z dziesiątkami innych za jaskrawo oświetloną barką. *La serenata!* Na przodzie barki tłusta Włoszka śpiewała gardlanym głosem *O bella Napoli* przy dźwiękach mandolin i gitar. Muzykanci podchwytywali chórem zwrotkę. W gondolach kobiety starały się o miny poetyczne i rozmarzone. Tu i owdzie odzywały się banalne zachwyty niemieckie i angielskie. Dałem znak przewoźnikowi; zgrabnym ruchem wiosła odłączył się od stada żałobnych łodzi, wykręcił i z lekkim pluskiem wody pchnął gondolę w stronę Rialto. Koronkowe pałace, w sen kamienny zaklęte, milczały posępnie. Z gęsto sunących gondoli unosiły się pieśni smętne i tkliwe. Tajemnicza, ciemna toń łagodziła ostre brzęczenie mandolin...

Nagle, za sobą, usłyszałem głębokie tony skrzypiec. Wraz jęła doganiać nas większa, prywatna widocznie gondola, kierowana przez dwóch, biało odzianych wioślarzy. Za chwilę zrównała się z moją łodzią. Mimo pomroki nocnej spostrzegłem złote włosy dogaressy, przechylonej niedbale na nizkiem siedzeniu. Obok niej siwy mężczyzna ćmił z pogodnym uśmiechem wielkie cygaro. Na bocznem krześle gondoli chudy, czarny jak dyabeł, Włoch ciął smyczkiem struny, przeginał się,

kurczył, to znów prostował, zawsze wpatrzony w jasne oczy dogaressy, jak gdyby w nich szukał natchnienia...

. . . Na placu św. Marka orkiestra wojskowa odgrzewała wystygłe już, stare melodye włoskie. Rzadkie lampy elektryczne skąpiły światła. Gęsty, ciemny tłum roił się wokół estrady. Oficerowie w opiętych kurtkach i eleganci w fałszywych panamach zaczepiali śmiechem i żartami dziewczęta, udrapowane luźno i wdzięcznie w czarne szale. One odpowiadały wesołym chichotem. Przekupnie zachwalali owoce, smażone w cukrze. A fasada bazyliki połyskiwała przedziwną harmonią mozajkowych fresków. Plac wydawał się olbrzymią i niesłychanie wytworną salą, nad którą genialny budowniczy zawiesił szafirowy strop, uhaftowany gwiazdami.

Przed kawiarnią Quadriego wszystkie niemal stoliki były zajęte. Z trudnością znalazłszy miejsce, w najbliższem sąsiedztwie spostrzegłem złotowłosą dogaressę. Siedziała znudzona i milcząca; jasne oczy błąkały się obojętnie, patrząc lecz nie widząc nikogo. Usta były blade. Przy niej ten sam siwy mężczyzna ciągnął bezmyślnie dym z wielkiego cygara.

Między stolikami torowało sobie drogę dwóch mężczyzn. Pierwszy szedł czarny skrzypek, którego poprzedniej nocy widziałem w gondoli. Zbliżył się do dogaressy i przywitał. Pani ożywiła się nieco.

— Niech pan usiądzie z nami! — zaproponował uprzejmie jej stary towarzysz. — Moja żona jest taka milcząca dzisiaj... Może pan zdoła ją rozweselić.

— Nie jestem sam... Chyba że państwo pozwolą przedstawić sobie mojego przyjaciela...

Na ustach dogaressy zjawił się zagadkowy, niepokojący uśmiech. Spojrzała na męża.

— Bardzo prosimy!

Do stolika przysunął się młodzieniec, który przybył ze mną z Tryjestu do Wenecyi, który tak błagał

i przekonywał złotowłosą podróżną i zniknął z nią za drzwiami tej samej kajuty, a rankiem oddzielał pomieszane razem pakunki. Czarny skrzypek przedstawiał go.

— *Cavaliere*...

Siwy mężczyzna podniósł się z krzesła i uścisnął dłoń młodzieńca, który jednocześnie składał ukłon głęboki przed dogaressą... Ona wyciągnęła doń rękę. Oczy ich spotkały się. Uśmiech dogaressy stał się jeszcze bardziej drażniący, prawie wyzywający. Tkwiło w nim szyderstwo z ludzi, świata i z samej siebie. Głosem zmęczonym mówiła obojętnie:

— Zdaje mi się, że miałam zaszczyt odbyć z panem podróż na tym samym statku...

Młodzieniec oblał się ciemnym rumieńcem. Dogaressa patrzyła nań swobodnie, podniecona i rozbawiona jego pomieszaniem.

BOA.

Pani prezesowa zjadła przy obiedzie, po dwóch talerzach zupy pomidorowej ze śmietaną, dużo tłustej baraniny, i czuła obecnie w żołądku ołowianą ciężkość. Położyła się w gabinecie męża na otomanie. Prezes wiedział, iż utrudniony proces trawienia ujemnie wpływa na humor żony. Gdy usłyszał w przedpokoju głosy dzieci, wstał spiesznie z fotelu.

Zosia, piętnastoletni podlotek o fałszywie skromnem spojrzeniu, wybierała się na przechadzkę z Kaziem, chudym i bladym gimnazyalistą. Odkąd w Zosi podkochiwał się młodziutki hrabia Zgrzelski, arystokratyczna chluba siódmej klasy, Kazio chętnie ofiarowywał się siostrze z opieką, ułatwiając w ten sposób »przypadkowe« spotkania dobrze urodzonemu koledze. Zosia była przygotowana, że i dzisiaj na Krakowskiem Przedmieściu spotka swojego wielbiciela. Poprawiła kilkakrotnie kapelusz przed lustrem, skromny żakiecik jednak budził w niej niezadowolenie i wątpliwości.

— Tylko nie siedźcie zbyt długo! — dawał zwykłe przestrogi prezes. — Zosiu! Widzę, że się znowu upudrowałaś! Panienka w twoim wieku nie powinna być zalotną. Skromność jest najpiękniejszą cnotą kobiecą. Skromność i czystość...

Na wązkich ustach podlotka dostrzedz było można drwiący uśmiech.

— Przecież kąpałam się w zeszłym tygodniu...

— Ależ ja nie mówię o czystości fizycznej, lecz o moralnej!

Kazio, zniecierpliwiony naukami prezesa, otworzył już drzwi. Ale siostra szepnęła mu nieznacznie:

— Zajmij na moment ojca...

On domyślił się odrazu, o co chodzi, Zosia zwierzyła mu się pierwej ze swoim planem. Zbliżył się do ojca i pochylił do jego ramienia. Prezes, poruszony miłością syna, wyjął tanie cygaro z ust i uniósł się nieco na palcach, aby ucałować wyższego wzrostem chłopca w czoło. W tejże chwili Zosia chwyciła zręcznie puszyste boa ze strusich piór, które leżało na konsoli przed lustrem i szybko zniknęła we drzwiach.

— Do widzenia, ojczulku!

— Do widzenia! A wracajcie prędko!

Na schodach Kazio pomógł nałożyć siostrze piękne boa. Ona z rozkoszą poczuła miękkie dotknięcie piór koło szyi. Ciemne jej oczy zaświeciły radością.

— Jeśli mama spostrzeże, będzie awantura — zauważył gimnazyasta.

— Mówiła, że nie wyjdzie na miasto. Zresztą co tam! Prawda, że dobrze wyglądam?

— Byczo!

— Tylko przed panem Zgrzelskim nie zrób jakiego głupiego dowcipu, że to boa jest mamy...

— Gwiżdżę na wasze boa!

. . . Prezes otworzył ostrożnie drzwi do jadalnego pokoju. Przy oknie młoda dziewczyna szyła na maszynie nową sukienkę dla pani prezesowej. Była dość ładna, choć blada i anemiczna.

— Panienka bardzo pilnie pracuje. Nóżki z nadmiaru pracy będą bolały...

Szwaczka nie wiedziała co odpowiedzieć. On podszedł jeszcze bliżej. Maszyna turkotała bez przerwy.

— Że to panienka nie pokłuje sobie palców! Jabym nie potrafił...

Dziewczyna uśmiechnęła się mimowoli. Prezesowi ten uśmiech wydał się zachętą. Przechylił się tak, że bujne jasne włosy musnęły jego łysą czaszkę, i do ucha prawie mówił:

— Czy to warto tak męczyć się dla lichego rubla? To dobre dla starych i brzydkich kobiet. Nie dla takiej śliczotki. Słowo daję! Gdyby panienka tylko chciała...

Przysuwał już usta do białej szyi dziewczyny. Ona usunęła się i bez oburzenia, jak gdyby przyzwyczajona do podobnych propozycyi, odpowiedziała:

— Jeśli pan zaraz nie odejdzie, powiem pani.

— Jaka niedobra! Panienka myśli, że moja żona uwierzy? Straciłaby panienka robotę i nic więcej.

— Proszę mnie zostawić!

Czujne ucho prezesa dosłyszało w przedpokoju lekki szmer. Twarz jego przybrała wyraz pogodny i obojętny. Ręce włożył do kieszeni.

— Kiziu! Co ty tu robisz?

Pani prezesowa mierzyła we drzwiach badawczym wzrokiem męża i szwaczkę. Kizio odparł dobrodusznie:

— Myślałem, że się zdrzemiesz, i nie chciałem ci przeszkadzać. Ponieważ zaś wiem, że nie lubisz, gdy palę cygaro w salonie...

— Tak... Więc wolałeś palić tutaj, w towarzystwie... Pannie bardzo wolno idzie dzisiaj robota.

W oczach dziewczyny błysnęła złość. Byłaby chętnie cisnęła suknię na podłogę i wyszła, drzwiami trzaskając. Ale pohamowała się i rzekła:

— Proszę pani prezesowej, moja babka była dziś rano trochę niezdrowa. Jestem niespokojna. Może pani pozwoli, że wyjdę wcześniej?...

Pani prezesowa spojrzała na zegar ścienny. Była godzina piąta.

— Jeśli panna chce... Ale policzę tylko za pół dnia.

Szwaczka zawahała się.

— Siedzę już dłużej, niż pół dnia — zaprotestowała nieśmiało.

— Ja tam nie będę robiła rachunków na minuty.

Dziewczyna walczyła z sobą. Od rana prześladowała ją myśl, że babka niema może nawet siły herbaty sobie przyrządzić. Wskutek tego robota szła źle. Kilka razy pruć musiała.

— Bodajby jej te kilka złotych kością w gardle stanęły! — pomyślała z gniewem o prezesowej.

Ta zaś obliczyła prędko, że wcześniejsze wyjście szwaczki przynosi jej zysk i była rada.

— Tylko proszę jutro przyjść wcześnie, panno Malinowsko! — rzekła pani prezesowa.

Mówiąc do osób o znacznie niższem stanowisku społecznem, pani prezesowa odmieniała zawsze nazwiska.

Gdy panna Malinowska wyszła, zwróciła się do męża tonem, który nie znosił odpowiedzi:

— Bardzo nie lubię, Kiziu, tych twoich rozmów ze szwaczkami.

... Pani prezesowa rozłożyła ponownie swoje okazałe kształty na otomanie. Wypoczynek jej jednak niebawem przerwały odwiedziny pani radczyni. Obie damy powitały się z godnością, właściwą osobom, które należą do »wyższych dziesięciu tysięcy«, poczem zaczęły mówić o demoralizacyi służby i o nożowcach. Pani radczyni przyniosła kilka wiadomości sensacyjnych o wspólnych znajomych, świadczących, iż zepsucie wdziera się nawet do lepszych sfer towarzyskich.

— Co się teraz dzieje, droga pani! — wzdychała prezesowa. — Dawniej było inaczej.

I po chwili, gdy rozmowa jęła się rwać, dodała:

— Muszę pani pokazać podarunek, który otrzymałam od męża. Kiziu! przynieś tutaj boa. Leży w przedpokoju.

Prezes, wyczekujący w milczeniu i z utęsknieniem godziny, o której wybierał się na zwykłego winta, pospieszył zadość uczynić prośbie żony. Wkrótce zjawił się we drzwiach salonu.

— W przedpokoju niema.

— Położyłam sama na konsoli. Ciebie do niczego użyć nie można!

Chuda i żółta radczyni rzuciła prezesowi spojrzenie, które mówiło, że ma o nim znacznie pochlebniejsze zdanie. Prezesowa porwała się z kanapy. Wraz z przedpokoju rozległ się jej głos donośny:

— Rzeczywiście niema. Józiu! czyś ty schowała gdzie moje boa?

Pokojówka tłómaczyła się, że nie widziała »na żywe oczy«. Ta śmiałość służącej dała pochop pani prezesowej do kilku ostrych wyrazów.

— Zobacz w szafie. Przecież gdzieś być musi. Samo nie wywędrowało z mieszkania.

Pani prezesowa wróciła do salonu i skarżyła się przed radczynią.

— Co to są nerwy, droga pani! Już czuję, jak mi serce bije. Doktor twierdzi, że powinnam koniecznie odbyć kuracyę... Kiziu! Dlaczego ona nie przynosi? Proszę cię, zobacz...

Po kilku minutach Józia wróciła oznajmić, że boa nigdzie niema. Prezes zniknął w swoim gabinecie, rozumiejąc, iż w takich chwilach lepiej nie narzucać się żonie. Pani prezesowa próbowała udawać obojętność, jak przystało kobiecie światowej. Lecz »gotowało się w niej«. Słuchała z roztargnieniem opowiadania radczyni o łudząco podobnem zdarzeniu, które przytrafiło się jej w Karlsbadzie, i odetchnęła lżej, gdy się gościa pozbyła.

Teraz przy pomocy pokojówki i kucharki rozpoczęło się szukanie boa po całem mieszkaniu. Coraz większy niepokój i gniew wzbierał w pani prezesowej. Nie potrzebując się już krępować, obrzucała służące przykremi wyzwiskami.

— Jeśli się nie znajdzie, to widocznie która z was ukradła. Zaraz pan sprowadzi policyę. W więzieniu gnić będziecie! Ze mną niełatwa sprawa!

Kucharka oburzyła się. Pokojówka szlochała. Obie wyraziły gotowość otwarcia swoich kuferków.

— Jeszcze nigdy w życiu nie byłam posądzoną o złodziejstwo!

— Na to mi zeszło, matko moja, że mię złodziejką pani robi!

Prezesowa nie zwracała uwagi na te protesty. Poszła do kuchni; ciężko sapiąc, usiadła na brudnym zydlu drewnianym i kazała sobie przysunąć kuferki. Potem zbadała dokładnie kąt, w którym wisiały spódnice i chustki służących. Boa nie było. Kucharka pokrzykiwała ze złości. Pokojówka łkała coraz żałośniej.

— Ty siedzisz sobie spokojnie z założonemi rękoma — wołała z oburzeniem pani prezesowa do męża. — Z mieszkania wynoszą rzeczy w biały dzień, a ty na to nic! Jedź w tej chwili do cyrkułu! Niech je aresztują wszystkie!

— Proszę łaskawej pani — jęczała pokojówka — nikt po południu nie przychodził! Ani kucharka, ani ja nie ruszyłyśmy się z domu. Prócz nas i szwaczki nie było nikogo!

— Szwaczki?...

Nagła myśl zaświtała w głowie pani prezesowej. Uderzyła się ręką w czoło. Szwaczka?... Ta niespodziewana wymówka o chorobie babki, zmieszanie na twarzy, szybkie wyjście...

— Niema wątpliwości! Tylko ona zabrała boa.

— Amelciu! — zaprotestował nieśmiało prezes. — Nie można bez dowodów...

— Ty będziesz stawał w jej obronie? Ty? Tak, ja rozumiem... Widziałam jak się do niej łasiłeś. Powiedz lepiej odrazu: możeś jej sam ofiarował moje boa? Powiedz! Wtedy dam pokój... We własnym domu! Ojciec dorastających dzieci!...

— Amelciu! Daję ci słowo honoru...

— Więc jak ty śmiesz przeczyć, skoro nie wiesz? Nikt, tylko ona... Albo ja nie zauważyłam, jakie ona do ciebie stroiła oczy? Poczekaj, panienko, ja cię nauczę! Józia! Kapelusz i pelerynę! Katarzyno, sprowadź zaraz dorożkę!

Prezes był zaniepokojony. Lękał się stawać w obronie panny Malinowskiej, by nie ściągnąć na siebie nowych i gorszych jeszcze wyrzutów. Obawiał się jednocześnie, aby gwałtowność żony nie wywołała przykrych powikłań.

— Co chcesz robić? Tak nie można! Trzeba się zastanowić...

Lecz prezesowa już była ubrana.

— Ja nie mam względem tej panny żadnych zobowiązań. Ja się nie włóczę z takiemi ladacznicami po gabinetach, nie funduję im szampana...

Prezes żegnał się przerażony.

— Co ty wygadujesz! Amelciu, bój się Boga...

Prezesowa potoczyła się jak kula na schody.

. . . Babcia była poruszona troskliwością Leosi, nie dawała jednak tego po sobie poznać i gderała.

— Zawsze to z twojej strony lekkomyślnie! Nawet dwóch złotych szkoda, i potem łaski możesz u pani prezesowej stracić, a to osoba znaczna i ustosunkowana...

Dziewczę dmuchało w stary mosiężny samowar.

— Ale herbata babci dobrze zrobi, prawda? Taka świeżo zaparzona, gorąca!...

Babcia oblizała się bezwiednie.

— Komużby dobrze nie zrobiła! Chodzi mi tylko, byś sobie ludzi nie zrażała. Skoro po domach na robotę chodzisz, musisz sobie jednać życzliwość. Panią prezesową raz widziałam z okna, jak po ciebie stróża przysłała i czekała w podwórzu, bo się jej wyjść na trzecie piętro nie chciało. Bardzo godna osoba, i mąż jej musi być dygnitarzem, kiedy ma tytuł prezesa.

Leosia miała inne wyobrażenie o ludziach wogóle, a o państwie prezesostwie w szczególe. Dlatego właśnie, że »szyła po domach«, nierównie sceptyczniej zapatrywała się na życie. Walka o byt wyrobiła w niej krytycyzm. — Co mi tam hrabina, czy prezesowa! — mówiła często. — Mnie wszystko jedno, u kogo pracuję, byle się ze mną obchodził uczciwie. Taka żydówka, która dobrze po polsku nie umie, nieraz kawą z ciastkami poczęstuje i porozmawia jak z człowiekiem!

Staruszkę pojęcia, dola i wiek uczyniły pokorną. Wymawiała często wnuczce, że niema dostatecznego szacunku dla ludzi wyżej położonych. Pani Malinowska uznawała hierarchię społeczną i godziła się bez szemrania na nizki szczebel, który jej przypadł w tej drabinie. W dziewczęciu inne przekonania i poglądy świtały.

— Gdybym miała pieniądze, byłabym taka sama dobra, jak inne — myślała często o swoich pracodawczyniach. — A może nawet lepsza, bo nie starałabym się urwać ubogiej szwaczce dwóch złotych z rachunku. Wszyscy ludzie są z jednej gliny ulepieni; wynika to już nawet z Pisma świętego.

— Ty jesteś zanadto harda! — strofowała babcia, nie zrażona milczeniem Leosi. — Serce masz poczciwe, tylko hardości za dużo. Wiesz co? Możebyś zeszła na dół i przyniosła kilka bułeczek. Już teraz będzie świeże pieczywo. Taka ciepła jeszcze kajzerka z herbatą, to jak marcepan!

— Tylko niech babcia nie rusza samowaru! Ja sama naleję, gdy przyjdę.

Leosia zarzuciła na ramiona chustkę włóczkową i wybiegła spiesznie. Babcia kiwała się z apatyczną pogodą w swoim starym fotelu, z którego tu i owdzie wyglądały kępki włosia.

Wtem nie zamknięte na klucz drzwi od schodów rozwarły się z łoskotem. Na progu ukazała się prezesowa. Kapelusz z piórami przekręcił się jej na bakier. Twarz była czerwona od wielkiego wzburzenia.

— Czy tutaj mieszka panna Malinowska, szwaczka?

— Tak!

— Nie ma jej w domu?

— Zeszła na chwilę na dół... Zaraz wróci...

— Pani wie, kto ja jestem?

— Zdaje mi się, że miałam honor... Może wielmożna pani prezesowa usiądzie... Leosia zaraz wróci...

Wobec usłużnej i trzęsącej się staruszki w pani prezesowej rosło jeszcze poczucie własnej wszechmocy.

— To mi jest wszystko jedno! — zawołała ostrym tonem pani prezesowa. — Ja tu nie przyszłam z wizytą. Gdzie jest moje boa? Proszę zaraz oddać, w tej chwili! Inaczej jadę na policyę. W policyi będziecie się tłómaczyły. Rozumie?

Pod babcią nogi tak zadygotały, że upadła na fotel. Boa? Policya? Nic nie pojmowała. Rozumiała jedynie, że musiało stać się jakieś ogromne nieszczęście.

— Proszę wielmożnej pani prezesowej, ja nic nie wiem... Leosia zaraz wróci...

— To mi jest wszystko jedno. Ja sobie ceremonii robić nie będę. Obaczymy!

I pani prezesowa śmiało przystąpiła do nieco kulawej, na jesion pomalowanej szafy. Otworzyła ją brutalnie i jęła gorączkowo przerzucać pozawieszane skromne suknie. Kilka spódnic wypadło na podłogę.

Lecz boa nie było. Pani prezesowa obejrzała się ze złością. Oczy jej padły na zniszczoną komodę. Szybkim ruchem wyciągnęła jedną szufladę, później drugą i trzecią. Na podłogę leciała uboga bielizna. Pani prezesowa przewróciła wszystko. Zajrzała pod stół, nakryty wypłowiałą serwetą. Zlustrowała przedpokój, będący zarazem kuchenką. Boa nie było.

— Ja wam pokażę! Schowała gdzieś! Wyniosła! Ale w policyi to się nie ukryje. Do kryminału wsadzę! W więzieniu gnić będziecie!

Babcia, odrętwiała z przerażenia, szeptała z cicha:

— Jezus Marya! Panno Przenajświętsza!

Uwagę pani prezesowej zwróciła okoliczność, że staruszka nie rusza się z miejsca. Czyżby tam właśnie?... Zbliżyła się do babci, szarpnęła ją silnie za ramię. Babcia umknęła się do kąta. Pani prezesowa odsunęła fotel.

— Już wyniosła gdzieś, schowała!

W tej chwili we drzwiach stanęła Leosia. Patrzyła osłupiałym wzrokiem na babcię i na panią prezesową, nie rozumiejąc, co się dzieje. Panią prezesową na widok szwaczki zdjął niepokój. Zdała sobie nagle sprawę, że skoro boa się nie znalazło, panna Malinowska może mieć do niej pretensyę o tak gwałtowne wtargnięcie do mieszkania. Postanowiła jednak, dla uniknięcia kompromitacyi wobec ludzi niższej klasy, utrzymać się na raz zajętem stanowisku. Krzyknęła zatem:

— Tak, to się nie uda! Skoro nie chcecie przyznać się i dobrowolnie oddać, niech się tem zajmie policya. Ja miałam jeszcze litość. Teraz niech będzie, co chce! Swojego nie daruję.

Leosia zbielałemi ustami zapytała:

— O co chodzi, proszę pani?

Pani prezesowa doznawała przykrego uczucia. Pragnęła teraz jak najprędzej opuścić to mieszkanie. Unikając tedy bliższych wyjaśnień, rzuciła dumnie:

— W policyi będzie się panna tłómaczyła!

I wyszła spiesznie.

. . . Babcia drżącą ręką mieszała oddawna rozpuszczony cukier w herbacie i opowiadała bezładnie, jak pani prezesowa wpadła do pokoju, jak zaczęła przetrząsać szafę, komodę... W uszach obu kobiet dźwięczało wciąż złowróżbne słowo: »Policya!« Nerwowy kurcz ścisnął gardło Leosi. Nie mogła mówić. Z oczu płynęły ciche i zimne łzy. Nagle szepnęła z rozpaczą:

— Babciu! Ona myśli, że ja ukradłam!...

Zgięła się niemal w kabłąk, głowę chowając w dłoniach. Babcia powtarzała co moment.

— Pan Bóg przecie łaskaw, nie dopuści!... Pan Bóg nie dopuści!...

Na schodach dały się słyszeć kroki. Ręce obu kobiet splotły się w okrutnym lęku. Policya?... Już idą?... Lecz odgłos kroków przebrzmiał...

Aż wreszcie mrok zapadł. Samowar dawno wygasł. Babcia mieszała wciąż cukier w herbacie. W rozkołatanej głowie Leosi myśli poczęły się układać i porządkować.

— Babciu! Tak być nie może! Chyba na świecie jest sprawiedliwość! My tego tak zostawić nie możemy!...

. . . Państwo prezesostwo siedzieli wraz z dziećmi przy herbacie. Nad biało nakrytym stołem zwieszała się duża bronzowa lampa. W obszernym pokoju było ciepło, jasno i wesoło. Sprawa z boa wyjaśniła się. Prezes dał córce repremendę tak ostrą, że Zosia wybuchnęła płaczem. Wobec tego pierzchła surowość pani prezesowej. Zrobiła nawet wymówkę mężowi, iż nie umie postępować z dziećmi. Kazio zaczął błaznować, opowiadając, jakie wrażenie wywarła Zosia na jego koledze, hrabiu Zgrzelskim. Pani prezesowa zganiła pobłażliwie syna. Idąc na przechadzkę z siostrą, nie powinien witać się i rozmawiać z kolegami. Wszak może zaprosić mło-

dego hrabiego Zgrzelskiego do domu... O swojej wyprawie do mieszkania szwaczki milczała. W duszy jednak postanowiła policzyć pannie Malinowskiej za cały dzisiejszy dzień, nie biorąc pod uwagę przedwczesnego wyjścia. Trzeba jej wynagrodzić... Prezes zaopiniował, że wszystko jest dobre, co się dobrze kończy, i dał służącej na ciastka. Czekał niecierpliwie końca spóźnionej kolacyi, obawiając się, że w resursie nie znajdzie już partyi. W domu państwa prezesostwa panował ten miły i pogodny nastrój, jaki następuje zwykle po małej burzy. Nawet pokojówka, Józia, dostrajała się do tego tonu. Tylko kucharka nie odzyskała jeszcze dobrego humoru, pani prezesowa jednak składała dowody »anielskiej cierpliwości« i, wchodząc do kuchni, udawała, że nie widzi jej złych spojrzeń.

Kolacya miała się ku końcowi, gdy w przedpokoju ozwał się dzwonek. Służąca poszła otworzyć. Wróciwszy, powiedziała:

— To ta szwaczka przyszła z jakąś starszą kobietą i chce się z jasną panią widzieć.

Pani prezesowa uczuła w okolicach serca nieprzyjemne ściśnienie.

— Powiedz, że mnie niema w domu.

— Kiedy ja już powiedziałam, że jasna pani jest w domu.

Panią prezesową ogarnął taki gniew wobec tej głupoty służącej, że byłaby ją chętnie wybiła.

— Jesteś idyotka! Mam gości... albo jestem rozebrana. Zresztą wszystko mi jedno. Ja dziś już wcale nie mam siły...

I zwracając się do męża i dzieci pani prezesowa dodała zbolałym tonem:

— Odprawcie ją sami... Ja czuję, że znowubym się zdenerwowała, a moje zdrowie potrzebniejsze dla was, niż dla mnie!

Prezes nie ruszył się z miejsca. Zosia pospieszyła do przedpokoju. Wkrótce zjawiła się z powrotem.

— One koniecznie chcą zobaczyć się z mamą.

I w tej chwili na progu ukazała się Leosia, w skromnej okrywce i kapeluszu, a za nią wystraszona trochę babcia, w wytartej salopce i staroświeckim kapturze.

— Czego pani chce po nocy, panno Malinowsko? — zapytała wyniośle pani prezesowa. — Co ma oznaczać ta natarczywość?

Głosem, zmatowanym przez wzruszenie, Leosia odpowiedziała:

— Czekałyśmy do tej pory na przybycie pani z policyą — jak to pani zapowiedziała. — Gdy się to nie stało, przychodzimy zapytać, co będzie dalej?

Prezes puszczał niebieskie kółka z dymu i przypatrywał się im z uwagą, nienaturalnie naprężoną. Kazio lepił małe figurki z chleba. Zosia przyglądała się złośliwie salopce babci. Pani prezesowa spojrzała na męża i dzieci, robiąc przytem minę, jak gdyby Pana Boga wzywała na świadka.

— Jakto, co będzie dalej?

Leosia poruszyła się żywiej!

— Proszę pani, to nie jest skończone. Mnie jeszcze nikt nigdy nie podejrzewał o kradzież. Ja sama wolę, żeby przyszła policya. Niech się wszyscy przekonają!... Przecież sprawiedliwość być musi!...

— Panno Malinowsko — rzekła z odcieniem wyrozumiałości pani prezesowa — już się wszystko wyjaśniło. Boa się znalazło. Niema o czem mówić więcej.

Babcia z widoczną ulgą zawołała:

— Widzisz, Leosiu, ja mówiłam, że tak będzie.

W oczach dziewczyny zapłonął ciemny ogień.

— O, przepraszam bardzo! Że pani mię niesłusznie posądziła, o tem dobrze wiedziałam. Ale czy to wolno wdzierać się do cudzego mieszkania i robić taką krzy-

wdę? Czy to się godzi? Dlatego, żeśmy biedne i bez opieki, to już wolno nami poniewierać?

— Proszę mówić ciszej w moim domu! — krzyknęła rozdrażniona bardzo pani prezesowa i spojrzała znacząco na męża.

Ten odchrząknął i dodał:

— Tak... proszę ciszej.

Pani prezesowa zaś, zwracając się więcej do babci, niż do Leosi, mówiła:

— O cóż teraz chodzi? Czy pani myśli, że ja tu na awantury pozwolę?

Surowy ton tych słów przeraził babcię. Wnuczkę wzięła za ramię.

— Pani prezesowa godnie mówi. Skoro się już wszystko wyjaśniło... To ucałuj rączki wielmożnej pani i chodźmy.

Potulność staruszki rozbroiła panią prezesową:

— Przez wzgląd na panią nie chcę być niegrzeczną — rzekła łagodniej.

Do skroni Leosi uderzyła gorąca krew. Czuła krzywdę swoją i chciała zadośćuczynienia. Lecz jakiego? Nie wiedziała. Miała żal do babci za jej pokorę. Pokorę wobec tych ludzi? Ona ich w tej chwili nienawidziła całą duszą. Nienawidziła nietylko ich, ale w ogóle wszystkich ludzi bogatych i wpływowych. Jakżeby pragnęła rzucić im śmiało w oczy tę nienawiść! Nie znajdowała słów, któreby dobrze wypowiedziały wszystkie myśli, tłoczące się bezładnie do jej mózgu. Zacisnęła pięści tak mocno, że paznogcie wbiły się w dłonie.

— Ucałuj rączki wielmożnej pani i chodźmy! — powtórzyła niecierpliwiej staruszka.

— Pan Bóg tego nie daruje! I... i tak zawsze nie będzie. Jeszcze przyjdzie czas!...

Pani prezesowa wstała z krzesła.

— Co panna powiedziała? Co?

— Ona tylko tak przez prędkość, proszę pani prezesowej! — przerwała spiesznie babcia. — Leosia, jak mię kochasz... Całuję rączki wielmożnych państwa.

. . . W jasno oświetlonej jadalni zapanowała przykra cisza, zakłócona jedynie spiesznem sapaniem pani prezesowej.

— To po prostu skandal! — zdecydował prezes.

— Nie, u mnie ona roboty więcej nie dostanie! — zawołała ze szczerem oburzeniem pani prezesowa. — Ani u moich znajomych! Wszędzie opowiem, jaki to ptaszek!... Jutro u służącej zostawię, co się należy, żeby jej do mieszkania nie wpuściła.

Jednocześnie w myśli pani prezesowa postanowiła policzyć zuchwałej szwaczce dziś tylko za pół dnia.

— Powiedzcie sami — rzekła po chwili pani prezesowa, ochłonąwszy już z wrażenia — czy warto jest być dobrą dla tych ludzi?...

BLUZKA.

Służący przyniósł czarną kawę. Pan Leon odetchnął głęboko, ogarnięty słodkiem zmęczeniem, jakie powoduje sumiennie spożyty, smaczny obiad. Na jego szerokiej, tłustej twarzy, obramowanej krótko przystrzyżonemi faworytami, malowało się bezmyślne zadowolenie.

— Spotkałem dziś Zarockiego, rzekł do żony. Wygląda jak z krzyża zdjęty.

Pani Irena mieszała kawę w milczeniu.

— Powiedziałem mu kilka słów prawdy, ciągnął dalej adwokat. Gdy się popełni głupstwo, trzeba za nie płacić. Któż mu kazał żenić się z jakąś biedną szwaczką... Myślał, że ją sobie zniewoli wdzięcznością, a ona porzuciła go w rok później dla jakiegoś hrabicza... I powiedzieć, że w uniwersytecie wszyscy wierzyli w jego rozum, przepowiadali mu świetną przyszłość!... Na mnie nikt uwagi nie zwracał... A teraz co?...

Pan Leon objął dumnem spojrzeniem biały, wytwornie nakryty stół, obszerną, pięknie umeblowaną jadalnię. Wzrok jego spoczął w końcu na siedzącej obok żonie.

— Teraz pokazało się, kto mądrzejszy. — Podniecony zadowoleniem z siebie i życia, otarł serwetą usta i, powstawszy z krzesła, zbliżył się do pani Ireny.

— Jak ty dziś ładnie wyglądasz — rzekł. — Mam ochotę pocałować cię. Tak dobrze pachniesz!

Już pochylił się nad jej jasną głową, gdy ona nagłym, bezwiednym ruchem odsunęła się.

— Służący idzie...

On spojrzał ku drzwiom, trochę zdziwiony porywczością jej tonu. Pani Irena poczerwieniała.

— Głowa mię boli — rzekła — jestem trochę zdenerwowana. Położę się na chwilę w buduarze.

Podała mężowi rękę, którą on podniósł do ust.

— Pewno zmęczyłaś się, chodząc za sprawunkami — odpowiedział. — Odpocznij...

Pani Irena przeszła do buduaru. Nizka lampa ocieniona błękitnym abażurem, zapełniała pokój bladem półświatłem. Młoda pani rzuciła się na szezlong. Żałowała teraz bardzo, iż nie dała się pocałować mężowi; mogło to zrodzić w jego umyśle podejrzenia. Ale nie umiała się przemódz, czuła jeszcze na ustach pocałunki tamtego...

Czy Leon dostrzegł ów odruch wstrętu? Jak go sobie wytłumaczył? Dreszcz niepokoju wstrząsnął panią Ireną. Rozumiała, że musi się przezwyciężyć i znosić pocałunki i pieszczoty męża. Tylko nie dziś, nie teraz...

Poprawiła suknię i ułożywszy się wygodnie, przymknęła oczy. Tylko nie teraz... Nadto była jeszcze pod wpływem świeżo doznanych wrażeń! w uszach jej jeszcze brzmiały upajające słowa miłości, pamięć rozkosznych uścisków mąciła jej myśli, odurzała... Uśmiechała się, przypominając okrutne obawy i nieskończone wahania... iść, czy nie iść... Powieki osunęły się zwolna, falowanie piersi stało się równomiernem. Pani Irena marząc zasnęła.

Po chwili zjawił się pan Leon, zbliżył ostrożnie, i popatrzył z uśmiechem na śpiącą. W jasnej jedwabnej bluzce — giętka, nerwowa szyja, osłonięta fantastycznie związaną koronką, twarz lekko zaróżowiona — pani

Irena wyglądała prześlicznie. Pan Leon wymknął się na palcach.

. . . Trochę przed trzecią wyszła z domu. Ubrała się tak, jak ubierają się we francuskich romansach mężatki, idące na schadzkę: ciemna długa peleryna, kapelusz, nie zwracający uwagi, gęsta czarna woalka na twarzy. Wsiadła do dorożki i kazała się wieźć na plac nieopodal ulicy, na której on mieszkał.

Tam wysiadła i poszła dalej piechotą, kilkadziesiąt kroków dzieliło ją od narożnego domu. Odwaga poczęła ją opuszczać. Zdawało się jej, że wszyscy przechodnie spoglądają na nią z drwiącym uśmiechem, że wszyscy czytają w jej twarzy, gdzie i w jakim celu idzie. Lecz siła raz powziętego postanowienia pchała ją naprzód. Kiedy znalazła się przed bramą, obejrzała się szybko na wszystkie strony, czy nikt jej nie śledzi. Wiedziała, że wejście jest z prawej strony, w parterze. Stanęła przed drzwiami i pociągnęła za dzwonek. Nogi pod nią słabły, w głowie czuła zawrotny szum; rozpęd doznanych wrażeń dręczył ją okrutną męką i jednocześnie napełniał nieznaną rozkoszą. Drzwi się rozwarły. Na progu stał on i pociągnął ją mocno do wnętrza. I za chwilę siedziała na nizkiej ottomanie, on klęczał u jej nóg i całował jej ręce, usta...

W dwie godziny później wyprowadził ją do przedpokoju, odemknął drzwi i rozejrzał się po bramie. Była pusta. Zwarli się w ostatnim pocałunku, poczem, nasunąwszy na wilgotne usta woalkę, wymknęła się na ulicę. Przedwcześnie ciepły, wiosenny dzień zamierał w błękitnym, przejrzystym oparze. W powietrzu czuć było woń wiosny, ferment ziemi, przebudzonej z zimowego snu, zapach odrodzonych krzewów i ziół. Pani Irena nie zdawała sobie jednak z tego sprawy. Była przejętą innemi wspomnieniami, duszną lecz upajającą atmosferą zamkniętego, półciemnego pokoju, czuła na sobie wciąż

jeszcze pocałunki, które biegły, biegły... aż wargi ścinały się z przytłumionym krzykiem, w ekstazie rozkoszy, niemal bolesnej. Skronie ją paliły w podnieceniu rozedrganych, zwichrzonych nerwów, szła prędko w stronę domu.

Nagle bezwiednym, mimowolnym ruchem sięgnęła dłonią pod pelerynę i stanęła jak wryta. Z przerażenia serce przestało bić: ręka jej znalazła pod peleryną twarde brykle gorsetu, obnażoną szyję i część gorsu. Ani bluzki, ani koronkowego *fichu* nie było. Na myśl, że mogła była tak wrócić do domu, gdzie w przedpokoju służący zdjąłby z niej okrycie, a mąż wyszedłby na spotkanie, na tę myśl krew cisnęła się jej gorącym warem do mózgu. Jaka nieuwaga, co za roztargnienie! I nie zastanawiając się dłużej, opanowana tą jedną myślą, że niema na sobie bluzki i krawata i tak do domu przyjść nie może, poczęła biedz szybko z powrotem ku mieszkaniu, które niedawno opuściła.

Zmrok zapadał i mgła czyniła się z każdą chwilą gęstsza. Szczyty domów gubiły się w ciężkim oparze i wydawały nieskończonemi. Tu i owdzie jęły pojawiać się żółte ogniki świateł. Na ulicach tłum zwiększał się i pani Irena przeciskała się z trudnością wśród tłoku przechodniów, którzy zaglądali jej natarczywie w oczy. Ona nie zwracała na to uwagi, zdjęta dziwną trwogą i mknęła przed siebie. Lecz niebawem spostrzegła, że znajduje się na ulicach, których nie zna, gdzie nigdy nie była. W pośpiechu musiała zbłądzić. Postanowiła wziąć dorożkę, by kazać się prędko zawieźć, i skinęła na przejeżdżającego woźnicę. Ten zatrzymał konia. Usiadła w powozie i nagle język jej zdrętwiał. Zapomniała, jak się zwie ulica, na której mieszkał on... Dorożkarz patrzył na nią tak szyderczym wzrokiem, iż, palona wstydem, wyskoczyła z powozu i poczęła biedz... Coraz więcej świateł mnożyło się wokół, tłum na chodnikach

był coraz liczniejszy. Pani Irena zdawała sobie sprawę, że miasto staje się dziwnie obcem, nieznanem. Domy były bezmiernie wysokie i ciężkie. W błękitnej mgle kamienne olbrzymy zdawały się chwiać i żyć, we wszystkich oknach błyszczały żółte światła, które spoglądały na nią i mrugały okrutnemi ślepiami. Mimo mrówczego tłumu na ulicach, pani Irena doznawała wrażenia, że tonie w wielkiem, bezbrzeżnem morzu, że nad nią unoszą się tysiące rąk, patrzą tysiące ócz, ale nikt nie chce przemówić i pomódz. Myśl, że tam, w domu, mąż czeka, strwożony i niespokojny, kąsany przez zjadliwe podejrzenia, pchała ją wciąż naprzód. Muszę znaleźć ten narożny dom przy placu, powtarzała sobie w duszy i przyspieszała kroku, biegła przed siebie.

Ale jednocześnie czuła, że błądzi coraz więcej i rozpacz ją ogarniała. Brało ją ogromne znużenie, nogi słabły. Straciła już rachubę czasu, gdy nagle, przechodząc przez jaskrawo zazieleniony skwer, ujrzała siedzącego na ławce Zarockiego. On j e g o zna, pomyślała z radością, i pewnie wie gdzie mieszka. I zapomniawszy nawet przywitać się, poczęła gorączkowo pytać o adres. Zarocki obrzucił ją długiem, badawczem spojrzeniem, w którem tkwiła widoczna niechęć, i powiedział: ulica... N... Zdradziłam się, mówiła sobie po chwili pani Irena. Domyślił się wszystkiego. Ale wiem przynajmniej, gdzie iść, odnajdę moją bluzkę i krawat. Teraz istotnie wiedziała doskonale i szła z zupełną pewnością we wskazanym kierunku. Już niedaleko, już niedaleko narożny dom przy placu...

Lecz nagle domy, ulice, miasto i myriady żółtych ogników jęły rozpływać się w szaro-błękitnej mgle. Pani Irena szła wciąż w raz obranym kierunku, ale zaczynała rozumieć, że ten dom, którego szuka, oddala się bezpowrotnie, ginie w mrocznych oparach, i że nie odnajdzie go nigdy. Biegła prędko, prędko, przejęta

wielkim lękiem i bezmierną rozpaczą. I niespodzianie znalazła się u wejścia do własnego mieszkania; w otwartych drzwiach stał służący, zdejmował z niej pelerynę, i uśmiechał się złośliwie, patrząc na jej obnażone ramiona i piersi. A w tej chwili mąż chwytał ją za ręce i wołał: — Gdzie zostawiłaś bluzkę? Gdzie bluzka?...

. . . Wstrząśnienie było tak silne, że pani Irena zbudziła się. W buduarze, pełnym dyskretnego, bladoniebieskiego światła, panowała cisza i spokój. U wezgłowia kanapy stał mąż, i lekko pochylony, patrzył z uśmiechem...

Pani Irena, drżąca i strwożona zasłoniła instynktownie rękami gors. I nagle rozkoszne ukojenie spłynęło jej do serca. Odetchnęła.

Bluzka i *fichu* koronkowe były na swojem miejscu.

— Rzucałaś się we śnie, rzekł pan Leon i tak wołałaś, żem przyszedł cię obudzić. Ty dzieciaku!...

Ona czuła się w tej chwili ogromnie szczęśliwą i wdzięczną, że jej troski były tylko snem. Przyciągnęła do siebie męża, objęła go za głowę i poczęła bardzo szczerze całować...

ZARAZA.

(Nowela).

Mrok czynił się coraz gęstszym. Łany niezżętych jeszcze zbóż, przestronne rżyska i ugory, długie prostokąty pól buraczanych i kartoflanych — zlewały się zwolna w jednę olbrzymią ciemnię. Tu i owdzie, w nizinach i mokradłach, wieczorne opary pełzały leniwie, omotując, niby pajęczyną, rzadkie kępy krzaków. Bezkreśny szafir widnokręgu jęły przekłuwać złote gwiazdy.

Szarym gościńcem, który piął się zlekka pod górę, szliśmy w milczeniu. Po upalnym dniu wieczór był duszny i bezwietrzny. Stachurski, mimo że — jak sam mówił — zbyt wiele już przeżył lat, by pamiętać ich liczbę, zdawał się nie czuć zmęczenia. Jego długie, cienkie nogi poruszały się miarowo i elastycznie, i gdyby nie zgięte w kabłąk plecy, możnaby go było wziąć w pomroce za młodzieńca.

Kiedyśmy się zbliżyli do szczytu wzgórza, uszu naszych począł dochodzić dziwny śpiew. Odzywał się w dali, niby zbłąkane echo, rozpływał się w ciszy wieczornej i za chwilę niósł się ku nam ponownym, urwanym dźwiękiem.

— Słyszy pan?...

Stachurski, nie zwalniając kroku, odparł obojętnie:

— Śpiewają litanię pod figurą...

Znowu przez parę chwil szliśmy, nic nie mówiąc. Wreszcie stary kłusownik, więcej do siebie niż do mnie, jął mówić:

— Ja już dawno rozumiałem, że przyjdzie złe... Pszenica porosła śniedzią, a owczarz wciąż dziwował się, że owce mu się na pastwisku rozpraszają, jak gdyby coś straszyło, i pies, zamiast je gonić, kładzie mu się u nóg i skowyczy. Gospodynie przysięgały się, że kury pieją jak koguty, tylko chrapliwiej... Wczoraj, po zachodzie słońca, niebo ociekało krwią... Chłopaki, co pasą konie na ługach, opowiadali dziś rano, że widzieli bladą kobietę, jak szła przez obłoki i trzęsła czerwoną chustą...

Spojrzał na mnie ukradkiem i dodał głośniej, wstydząc się widocznie własnych słów:

— Chamy! Zabobonne to i głupie...

Dochodziliśmy do szczytu wzgórza. Tęskny, jękliwy śpiew stawał się głośniejszym i wyraźniejszym. Niebawem mogliśmy już rozróżniać pojedyncze słowa:

... racz nam zeskromić niebo srogie,
które trapi ciężkim morem
zewsząd ludzie ubogie!...

Wtem płuca nasze poczęły oddychać lżej, a przed oczyma rozwinął się daleki, mimo mroku nocnego, widok. Poniżej, wśród ciemnych sadów, bieliły się jasne ściany chat; nieco dalej czerniała zbita, wysokopienna gęstwa ogrodów, osłaniających zabudowania dworskie. Choć pora była wczesna, wieś wydawała się pogrążoną w bezwładnem, posępnem odrętwieniu; bezksiężycowa noc objęła całą dolinę wielkim, milczącym uściskiem.

I wśród tej rozległej ciszy nabożny śpiew wzmagał się i przybliżał. Nie dalej, jak o kilkaset kroków od nas, wokół przydrożnej figury Matki Boskiej, kupiła się na klęczkach garść ludzi. W smętny chorał zlewały

się społem nizkie, gardlane głosy mężczyzn i cienkie zawodzenia kobiet i dzieci:

. . . o Lekarko chrześcijańska!
racz nas chorób pozbawić;
co nie zdoła ludzka siła,
racz nam u Syna sprawić!

Ciemne tło niewieścich kaftanów i chust przetykały bezładnym haftem płowe czupryny i szare, zgrzebne koszule parobków. Pieśń płynęła rzewną gędźbą, milkła zwolna po każdej zwrotce, i wraz podnosił się oderwany, drżący głos starej widocznie kobiety, a wnet łączyły się z nim inne... Nieśpiesznie chorał rozrastał się, potężniał, i niknął ponownie w rozpacznych tonach błagania, przerywanych czasem szlochami i łkaniem...

Stachurski zdjął czapkę, sk urczyłgrzbiet jeszcze niżej i pod nosem wtórował pieśni. Ja obnażyłem również głowę, lecz bezwiednie przyspieszyłem kroku. Ten wieczorny śpiew wśród pustynnej ciszy pól mroził mi krew w żyłach, budził w duszy tajemniczy lęk. Ciepłe fale powietrza wydały mi się nagle bardziej dusznemi, przesiąkniętemi niewidzialną zarazą. Czułem wokół siebie nieuchwytną, straszną moc, która wtłacza do piersi śmiertelną siejbę, moc silniejszą od woli i władzy człowieczej, wobec której jest się bezbronnym i małym.

Minęliśmy szybko rozmodloną drużynę. Zaledwie parę głów odwróciło się ku nam. Szliśmy prędko, lecz za nami biegła i goniła pieśń:

. . . Wysłuchaj nas, gdyż Tobie Syn
odmówić nic nie może!
Zbaw nas dla prośby Matki Twej,
o Jezu, Wieczny Boże!...

Przy starej, opuszczonej karczmie gościniec skręcał ku wsi. Odgłosy pieśni niknęły w oddali... Ulica wio-

skowa, cicha i wymarła, czyniła wrażenie smutnego cmentarzyska, po którem w taką noc śmierć z lubością się przechadza. Nie słychać było nigdzie znaku życia, ani szczekania psów, ani zwykłego rehotania żab w poblizkich łąkach.

— Możebyśmy poszli do dworu na przełaj przez olszynę?...

Stachurski kiwnął głową na znak zgody. Po dłuższej chwili milczenia rzekł:

— Co to tegoroczny mór!... Para chłopów zadrze kopyta... I bez tego śmierć by ich nie minęła! Ale ja pamiętam dawniej...

Tuż przed nami czerniała zbita masa ogrodu. Poprzez gęstwinę drzew i krzewów okna dworu świeciły żółtemi ślepiami. Siedliśmy na murawie pod ogrodowym parkanem. Stachurski zdjął swą odwieczną pojedynkę z ramienia i położył ją ostrożnie na kolanach. Zamyślił się, zbierając myśli, i potem zaczął mówić.

* * *

. . . Dawno to już, dawno... Mieszkałem wówczas w Zarwaniu. Młody byłem... Z ubitym kozłem na plecach cztery mile nocą lekko robiłem przez zarośla i trzęsawiska, by nie spotkać się z leśniczym lub strażnikiem. Kota potrafiłem na pięćset kroków upatrzeć w kartoflach... Dobre czasy!...

W miasteczku zżyłem się był z jednym starszym człowiekiem, mieszkaliśmy w sąsiednich domkach. Nazywał się Wojciech Zabrzega, a dziwak był... Mówili, że w głowie miał pokręcone... I mnie chwilami, gdym go nie rozumiał, tak się zdawało. Dziś, kiedy wspominam jego słowa i czyny, nie wiem... Niech ziemia mu lekką będzie!

Zabrzega był kiedyś żołnierzem. Twarz miał pochlastaną szablami, lewą nogę przekłuła mu spisa... Puł-

kownik, któremu służył za ordynansa, wziął go z sobą na wędrówkę do Francyi, i Zabrzega w Paryżu przesiedział z nim kilkanaście lat. Później znów przypasał pałasz do boku, ale nie na długo... Nie wrócił jednak już więcej do Paryża, skorzystał z pozwolenia i pozostał w kraju.

Choć człowiek to był kondycyi nie wysokiej, wojaczka i wędrówki po świecie wyrobiły w nim edukacyę. Nasłuchał się wiele i widział dużo, ocierając się o różnych ludzi. I ja myślę, że stąd właśnie szły jego dziwactwa. Prosty człowiek nie ujmie wszystkiego, jak trza, to trudno. Nie mnie sądzić Zabrzegę! Proboszcz miał z nim dość biedy, mimo że przychylność czuł dla niego szczerą. Bywało, Zabrzega pójdzie do spowiedzi, a do komunii św. nie staje. W miasteczku poczynają wnet plotkować, że musi mieć okrutne grzechy na sumieniu, skoro mu ksiądz rozgrzeszenia nie dał. Tymczasem już na drugi dzień Zabrzega chodzi z proboszczem po ogródku przy plebanii — podnosi głos, jak gdyby uczył proboszcza — ten zatyka uszy i krzyczy nań sierdziście, a przy rozstaniu Zabrzega całuje księdza z pokorą w rękaw, proboszcz klepie go smutno, lecz bez gniewu, po ramieniu.

Bo i jak można było pomawiać go o ciężkie grzechy, kiedy w nim tylko poczciwość a dobroć mieszkała. Gdyby nie Mateuszowa, z głodu i chłodu prędkoby pomarł, bo prośbie biednego nigdy odmówić nie umiał. Lecz stara Mateuszowa to na nim wymogła, że małą pensyjkę, którą mu rodzina pułkownika co miesiąc wypłacała, jej oddawał, zaś ona mu co tydzień trochę miedziaków wydzielała. Zresztą baczyła, by przyodziewek miał ciepły i ochędożny, by zdrowej strawy nie brakło. Zacna była kobieta, choć gadatliwa nad miarę. Zabrzega, z przyrodzenia milczący, nie byłby z nią długo wytrzymał, gdyby nie córka, którą sobie ogromnie umiłował.

Sam był, rodziny nijakiej, więc przywiązał się do dziewczyny, dziecka prawie, gdyż piętnastu lat nie miała. Jak do rodzonej...

Mówił z nią mało, tylko godzinami lubił się przyglądać, jak po izbie się krzątała, albo w ogródku, który mieli przy domostwie, jarzyny pełła. Czasem wstał, przybliżył się, pogłaskał ją po czole, przeszedł się trochę wzdłuż bruzd i wracał na ławę pod ścianę... Dziecko też było niezwyczajnie przypochlebne i słodkie, nigdy nie poszło gzić się z miastowemi dziewczynami, nigdy nieprzystojna śpiewka nie postała w ustach... Próżno matka gnała ją: Idźże zabawić się! Młoda jesteś! Ona ucałuje matkę w rękę i prosi, że woli zostać koło domu. A Zabrzega fukał zaraz, żeby mu dziewczęcia nie psować. Stara miała przed nim respekt, raz, że przy jej wdowich funduszach taki pensyonarz był wielką pomocą, a powtóre, że dla Zabrzegi nie można było nie mieć respektu. Taki już był!...

Choćby z samego wyglądu. Średniego wzrostu, w sobie, mimo podeszłych lat, krzepki, włosy i broda białe jak śnieg, a spojrzenie z pod krzaczastych, ciemnych brwi, żywe, gorące. W oczach miał młodość. Gdy się odezwał, wszyscy milkli i zwracali się ku niemu, choć nierzadko powiedział coś takiego, co ani do rzeczy było, ani do zrozumienia. Insze kobiety wprost się go bały...

Skarżą się przed nim na nieurodzaj, na ciężkie czasy, a on kiwa głową, słucha w milczeniu, aż wreszcie powie: Ludzie! Ludzie! Nie wam rozprawiać o wyrokach Boskich! Chrystus tak chce i nie wam się opierać! Tak musi być, dopóki prawda nie wstąpi na ziemię. Ale gdy ogień miłości Bożej mocniej się wśród was rozżarzy i wszystkie obszary obejmie, złe odejdzie precz... Obaczycie, niebawem rozpocznie się panowanie Chrystusa!...

Ten i ów żegnał się pobożnie, inni wzruszali ramionami, że nie na kazanie przyszli. Zabrzega zdawał się nie widzieć ich wcale...

Raz spotkałem go za miastem i szliśmy razem ścieżką. Wtem postrzegam małą, czarną żmiję, jak się zwinęła przed nami i ostry pyszczek podniosła. Skoczyłem naprzód i zmierzyłem się laską. Zabrzega chwyta mię za rękę. Co chcesz robić? Zatłuc paskudną bestyę. Zaniechaj, przecie i to twór Boski. Tylko na krzywdę człowieka czyha... A wtedy Zabrzega: Czy ty wiesz, jakie jest przeznaczenie tego gadu? Dotychczas Bóg wielkich rzeczy przez żmiję nie poczynał, lecz czyż tego uczynić nie może, gdy zechce?

Ja zgłupiałem, żmija znikła we mchu, a Zabrzega już nie wyrzekł słowa więcej.

Dla niego, panie, choć chrześcijanina, żyd takim samym był człowiekiem, jak każdy inny. Nawet można rzec, iż dla żydów osobliwą słabość miał. Chętnie z nimi rozmawiał, bardzo po przyjacielsku, i oni też garnęli się do niego chętnie, że rozprawiać z nimi potrafił. Dopiero kiedy raz powiedział rabinowi, że nie powinien żywić wstrętu do nierogacizny, bo i żyd, gdy w nim dusza licha, może się po śmierci, z przeproszeniem, w świnię zamienić i jako świnia po ziemi chadzać, to i ściślejsza przyjaźń się urwała, ku uciesze Mateuszowej, która wstydziła się tych żydowskich odwiedzin na swojem podwórku. A kiedym ja się dziwił, że tak z żydami za pan brat przestaje, on odrzekł: Widzisz, to wielki, wybrany naród, skoro Chrystus z niego wyszedł. I do naszego podobny, bo z nas także wyłoni się prawda, która odrodzi świat. Wszak oni Chrystusa właśnie ukrzyżowali!... A Zabrzega: Zali wiesz, czy my będziemy lepsi?...

Dziwny to był, panie, człowiek!

* * *

Stachurski zamilkł. Siwe oczy wlepił w ciemny szafir nieba i w myśli zdał się przetrząsać dawne wspomnienia. Świeży wietrzyk zerwał się wśród olszyny, zakolebał zlekka wierzchołkami drzew i szybko przemknął. W dali, na ługu, derkacz wrzasnął krótko i znów wokół nas była cisza głęboka, bezbrzeżna...

— Okrutny to był rok! — odezwał się wreszcie Stachurski. — Co to teraz! Wonczas ze Wschodu przyszło rzetelne powietrze. Ludzie padali, jak muchy... Człek kładł się wieczorem do łóżka, niepewien, czy żyw się obudzi.

Szczególniej Pan Bóg dotknął nasz Zarwań. Że w miasteczku było — z przeproszeniem — żydów co niemiara, a gnieździło się to w ciasnocie i zaduchu, i karmiło się byle czem, kośba była tem łatwiejsza. Trwoga ogarnęła cały naród. Ludzie bali się pokazać na ulicach, przesuwali się wzdłuż domów, jak złodzieje, jeden drugiego unikał, bojąc się, by mu zarazy nie wszczepił. Spotykano się tylko w kościele, gdzie proboszcz częste odprawiał nabożeństwa i z procesyą wychodził, by ubłagać Matkę Przenajświętszą. Żydzi tłoczyli się do synagogi. A po skończonych modłach, innych rozmów słychać nie było, tylko: Tam wymarł doszczętnie cały dom! Tu rodzice z dziećmi ułożyli się spokojnie do snu, i w ciągu jednej nocy zmogła ich straszna choroba. Doktor staruszek obsłużyć wszystkich nie był w stanie. Grabarze uciekali i nie było komu zwłok po chrześcijańsku grześć. Miejscy pachołkowie ciskali wszystkich do jednego dołu i tak najzapamiętalszych wrogów spotykało we wspólnym grobie wieczne sąsiedztwo. Okrutny to był, panie, rok! Lęk siedział ludziom na karkach i ścinał w żyłach krew...

Wieczorami szli wszyscy za miasto i pod starym krzyżem śpiewano litanie. Lecz Przenajświętsza Panna nie chciała się zmiłować. Próżno błagano Boga, darmo

kłaniano się czartu, stawiąc na stragarzach po nad wchodowemi drzwiami końskie czerepy. Mór szerzył się coraz srożej. Co bogatszy, uciekał do lasu lub w głąb kraju. Nie oglądano się na gospodarstwo, na warsztat. Każdy myślał o tem tylko, by uratować życie.

Można powiedzieć, że jeden człowiek nie tracił spokoju ani otuchy: Zabrzega. Modlił się wraz z innymi, ale strach w nim nie postał na moment.

— Skoro klęska tak ciężka — mówił — to już niechybnie próby Pańskie zbliżają się ku końcowi. Przetrwajmy, skoro taka Jego wola, i miejmy ufność, że niedalekiem jest panowanie Chrystusa na ziemi.

Nawet ci, co się przedtem z Zabrzegi naśmiewali, teraz musieli oddać mu sprawiedliwość. Chodził od domu do domu, niósł chorym leki, które mu proboszcz dawał, niósł pocieszenie. Raz, gdy grabarzy zabrakło, sam wziął łopatę do ręki. Innym bojaźń odejmowała siły, a w nim, mimo podeszłych lat, moc rosła. Coraz rzadziej atoli można było odeń usłyszeć jasne słowo: w tem, co robił, trzeźwy był i przytomny, a kiedy zaczął mówić, trudno go było zrozumieć. Najczęściej mruczał sam do siebie pod nosem. Kto tam jednak miał wtedy ochotę do drwin, kto patrzył na takie rzeczy! Witano go wszędzie z radością i dziwiono się tylko, że starego człowieka zaraza się nie ima.

Ja byłbym może przemógł trwogę i pomagał mu, lecz nieboszczka siostra mię nie puszczała. Okrutnie bała się... jak zwykle, kobieta... Mateuszowa też krzywiła się i wyrzekała, że Zabrzega przyniesie jej zarazę do domu, sam się zgubi i ją wraz z córką do grobu wtrąci. On jednak na to nie zważał, a proboszcz powiedział kobiecie, żeby go nie odmawiała, bo pełni obowiązki chrześcijańskie, i życie jest w ręku Boga. I prawdziwie, plaga omijała wdowie domostwo, nawet obok wypadków nie było.

Lecz choć Zabrzega na wojnie przywykł spoglądać oko w oko śmierci, ja postrzegłem łacno, że od tej walki z morem w głowie mu się coraz bardziej mąciło. To darmo, panie! Można mieć męski hart, a gdy się usłyszy płacz kobiet, albo łkanie osieroconych dzieci, to jakby człowieka kto za trzewia targał. On to miał codzień przed oczyma. I jeszcze insza rzecz, kiedy konają ludzie starsi, którzy już wzięli z życia, co im się należało. Ale kiedy przyjdzie patrzeć na śmierć młodych pacholąt, co jeszcze rozwinąć się nie miały czasu!... On to widział co dnia...

W parę tygodni zmienił się do niepoznania. Na twarzy zżółkł, z ciała spadł, tylko oczy gorzały mu coraz żywszym ogniem, jak gdyby go trawiła bezustanna gorączka. Raz wieczorem — litanie pod krzyżem skończyły się i lud rozpierzchł się w ciszy po domach — poszliśmy razem przez pola. Już nie pamiętam, com mu mówił. On słuchał — może nie słuchał — i milczał. Zamilkłem wreszcie i ja. Noc była taka, jak dzisiejsza, letnia, pogodna... Gdyśmy się oddalili już sporo od miasta, spytałem, czy nie chce zawrócić. Skinął głową i poszliśmy nazad, wciąż nic nie mówiąc. Przy pierwszych domostwach Zabrzega przystanął, wziął mię za guzik od kurtki i wskazał na ulice miasta bezludne, wymarłe, na drzwi i okna, szczelnie pozamykane. Znikąd znaku życia, znikąd ludzkiego głosu!...

— Słuchaj, Bóg domaga się ofiary z ducha... Ja wiem... Trzeba ratować ich, bo poginą... Bóg domaga się ofiary z ducha...

Patrzyłem nań osłupiały, nie pojmując, o co mu chodzi. On puścił mię nagle, pożegnał ręką i poszedł prędko sam.

Znów minęło kilka dni. Mór nietylko że nie słabł, ale przeciwnie, stawał się coraz zawziętszy i sroższy. W kilka godzin walił najzdrowszego człowieka. Miasto

ogarniała rozpacz. Mateuszowa przychodziła do nas skarżyć się, że Zabrzega nie je i nie sypia... Gdy był w domu, kazał siadać przy sobie Kasi i opowiadał jej historye z minionych lat. Pamiętam ów podwieczór... Siedziałem z Zabrzegą na ławce przed domem. On był taki jakiś dziwny, że słowa plątały mu się w ustach, a z oczu szły spojrzenia nagłe i niejasne, niby błędne ognie. Martwą ciszę uliczki przerwał lekki odgłos kroków: Kasia wracała... Zabrzega z daleka postrzegł jej zbielałą twarz i opuchnięte oczy. Co ci jest, dziewczyno? krzyknął. Ona buchnęła głośnym płaczem, dopadła kolan Zabrzegi i przysunęła się do niego, porwana wielkiem łkaniem, aż Mateuszowa w izbie usłyszała i wybiegła na próg.

— Co ci jest, dziewczyno?

Długo nie mogła odpowiedzieć. Wreszcie jęła mówić, jak zaszła do swej matki chrzestnej, która od początku powietrza już córkę i dwóch synów utraciła, i jeden jej tylko pozostał, najmłodszy, ostatnia nadzieja staruszki. W domu było cicho, na podwórku żywej duszy... Zastukała do drzwi, nie odezwał się nikt... Pchnęła klamkę i w półmroku ujrzała młodego chłopaka na łóżku. Leżał zmieniony, straszny, dysząc ciężko, a przy nim klęczała matka... Co się stało?

Staruszka odwróciła głowę i, gdy zobaczyła Kasię, poczęła dawać jej znaki, by uciekała, by szła precz... A w oczach jej tkwił taki ból, taka rozpacz... Kasię chwycił lęk i ruszyć się z miejsca nie mogła... Wówczas staruszka podniosła się z trudem, zbliżyła się do niej, pchnęła ku drzwiom. Uciekaj stąd! Uciekaj! Ostatniego mi biorą! Na żebry trzeba pójść sierocie!...

Dziewczyna nie mogła się uspokoić. Próżno Zabrzega i matka pocieszali ją, łagodzili... Pomnę, że i we mnie w końcu taka żałość wezbrała, żem wstać musiał i za węgieł domu pójść, by łzy rękawem otrzeć...

Ułożyliśmy wreszcie Kasię na tapczanie. Zabrzega wziął czapkę i kij.

— Trza tam iść, może Pan Bóg zezwoli pomódz...

Towarzyszyłem Zabrzedze, lecz nie wchodziłem do wnętrza, tylkom został się na ulicy. Minęło dobre pół godziny, aż stary wyszedł. Głowa mu się trzęsła, pod nosem mruczał. Zrozumiałem, że stało się nieszczęście. Iście tak było. Chłopak już nie żył.

Wracaliśmy z Zabrzegą społem. On zrazu nie pamiętał o mojej obecności. Pokrzykiwał sam do siebie, ręce i głowę ku niebu wznosił, to znów pochylał się ku ziemi, jak gdyby nagły ciężar na plecach mu siadał. Twarz miał białą, w oczach paliły się ciemne płomienie. Wtem ściska mi ramię i woła rozpaczliwie:

— I Abraham tak pewno błagał Jehowę: Panie! mnie zabierz w dań, a nad tem dzieckiem chciej się zlitować!...

Ja spoglądałem zdziwiony na Zabrzegę. On zaś, nie puszczając mego ramienia, mówił dalej:

— Panu nie chodzi o ofiarę ze starych kości i wyschłego ze krwi ciała. Złóż na ołtarzu ofiarę z tego, co najbardziej miłujesz, ofiarę z ducha!... Tak szepce niewidzialny głos... Kasiu! dziewczyno moja! Czemuż stałaś mi się tak drogą?...

Potem odsunął się odemnie i szedł samopas, bijąc się co chwila w piersi.

— Panie, litość miej nad Swoim sługą!...

Ciemno było, gdyśmy stanęli przed domostwem Mateuszowej. Na odgłos naszych kroków wybiegła jasna, chybka postać.

— Żyje?...

Zabrzega rękę położył na czole Kasi.

— Módl się za jego duszę...

Dziewczę zaniosło się od głośnego płaczu. A on, tuląc ją do siebie, mówił:

— Pan odwrócił od nas miłosierne oczy. By uciszyć Jego gniew, potrzeba wielkiej ofiary...

Ona, łkając, odrzekła:

— Boże! Weź mię do siebie, a zlituj się nad innymi!...

Wtedy Zabrzega wyprostował się, oczy zaświeciły mu dziwnie i wielkim głosem zawołał:

— Panie! Stanie się wola Twoja!...

* * *

Znowu Stachurski zamilkł. Na krótko jednak. Odetchnął głęboko i ciągnął dalej:

— Ja nie mogłem zrozumieć, co miały znaczyć te słowa. Jednak odczułem dziwną trwogę... W nocy spać nie mogłem i siostra, słysząc, jak przewracałem się na pościeli, poczęła się już niepokoić o me zdrowie. O świcie porwałem się z łóżka. Co to miał być za ranek!

Zabrzega — Mateuszowa opowiadała później — całą noc się modlił, a febra trzęsła nim bez przerwy. O wschodzie słońca obudził Kasię, kazał się jej prędko ubrać i powiódł do ogródka. Mateuszowa tyle tylko słyszała, bo — że rychło jeszcze było — zasnęła nanowo.

A on, panie, wziął rydle i poszedł w sam kąt ogródka. Tam odmierzył długi czworobok i zlecił dziewczynie kopać dół.

Słońce wzniosło się wysoko. Mateuszowa wstała z łóżka, rozpaliła ogień na kominie i, nie widząc córki, jęła wołać i szukać wokół domu. Znalazła ją kopiącą ów dół. Opodal Zabrzega klęczał i odmawiał pacierze. Stara zaczęła się zżymać, że córka napróżno traci czas, że jej ogród niszczą, ale Zabrzega takim wzrokiem na nią spojrzał, że się ulękła.

— Kobieto! — powiedział. — To ofiara najmniejsza... Ubłagamy Pana, by odwrócił od nas zagładę... Idź stąd!...

Mateuszowa była przesądna i Zabrzegę w duszy posądzała o tajemną moc czarnoksięską, że bezkarnie zarazie w oczy zaglądał i z Panem Bogiem wprost rozmawiał. Wyrzekając płaczliwie, podług zwyczaju, wróciła do kuchni gotować śniadanie...

Kiedy jednak godzina minęła, a Kasia ni Zabrzega nie przychodzili do izby, jęła wołać ich nanowo. Żadnej odpowiedzi. Idzie do ogrodu. Kasi niema, tylko Zabrzega kończy zasypywać dół.

— Gdzie poszła Kasia?

On jakby nie słyszy. Dół był już prawie zrównany z ziemią. Mateuszowa, nawykła do dziwactw starego, pomyślała, że wysłał gdzieś dziewczynę. Lecz nagle Zabrzega odwrócił ku niej twarz i kobieta przeraziła się okrutnie. Zabrzega blady był, jak trup... wielkie krople potu spływały mu z czoła, oczy miał szkliste i nieprzytomne. Mateuszową zdjęło złe przeczucie i poczęła latać po ogródku i wokół domu, nawołując Kasi. Znikąd odpowiedzi. Wybiegła na ulicę, pyta sąsiadów. Nikt Kasi nie widział. Zrobił się hałas, ludzie gromadzili się przed domem, znalazłem się między nimi i ja.

— Po co się matka unosi — mówię — trzeba Zabrzegi pytać, on pewno będzie wiedział...

Idziemy wszyscy do ogrodu. Nad świeżo rozkopaną ziemią klęczy nieruchomie Zabrzega. Głowa zwisła mu bezwładnie. Biorę go lekko za ramię i pytam.

— Panie Zabrzega, Mateuszowa niepokoi się o dziewczynę. Powiedzcie, czyście posłali gdzie Kasię?

Zabrzega ani drgnął. Żadnej odpowiedzi. Potrząsam nim silniej.

— Powiedzcież, gdzie Kasia!...

Zaś Mateuszowa bardzo lamentuje i drze się w niebogłosy:

— Gdzie jest moje ukochane dziecko? Rety! Gdzie moja jedyna córka?

Zabrzega wreszcie poruszył ustami. Lecz słowa nie chciały z nich wyjść. Poruszył znowu. Wokół uczyniła się cisza. Nawet Mateuszowa umilkła.

— Ofiara z ducha! Ofiara z ducha!...

Wszyscy słyszeli ten szept, nikt nie rozumiał. Zabrzega wówczas spróbował podnieść rękę, która opadała bezsilnie i, nie patrząc na nas, wskazał na rozkopaną ziemię...

Jakby mię kto obuchem zmierzył w łeb. Nagła błyskawica rozszczepiła mi mózg. Chwyciłem za rydel, krzyknąłem do innych:

— Ludzie, na miłość boską i ludzką, bierzcie za rydle i kopcie!...

Choć nie wszyscy pojęli, ten i ów szukał rydla lub łopaty. A Mateuszowa, panie, oniemiała i spoglądała na nas oczyma wywróconemi w słup tak strasznie, że krew marzła. Nikt nic nie mówił. O Zabrzedze zapomniano. Słychać było tylko głuchy łoskot odrzucanej ziemi i ciężkie sapanie kopiących. Wtem jeden pobladł i zatrzymał się.

— Jakby odzież...

Kobiety przybliżyły się trwożnie. Oddech zamierał w piersiach. A Mateuszowa patrzyła na nas bez ruchu, bez słowa...

Teraz mój rydel spotkał się z czemś miękkiem... Wypadł mi z rąk... Chryste Panie!...

Nie żyła, panie! Napróżno usiłowaliśmy ją docucić! Usta miała zasypane ziemią...

Wyjęliśmy ją ostrożnie i położyli na usłanych naprędce chustach... Wtem zadrżeliśmy wszyscy. Z gardła Mateuszowej wyrwał się krzyk, raczej wycie takie okropne, takie złowrogie... I rzuciła się ku Zabrzedze, który klęczał wciąż... On powalił się jak kłoda. Ledwie zdołaliśmy ją oderwać. Ktoś pochylił się nad Zabrzegą i krzyknął. Zbiegli się inni. Oczy starca zaszły mgłą,

z kątów ust toczyła się krwawa piana. Po chwili Zabrzega nie żył...

* * *

Stachurski wstał, założył strzelbę na ramię, odwrócony twarzą odemnie, i prostował skurczone od długiego siedzenia członki. Podniosłem się również. Przyćmiony czarną krepą szafir nieba świecił i mrugał teraz złotemi skrami gwiazd. Jedna z nich odbiła się i lekko i cicho zsunęła się w dół...

W milczeniu doszliśmy do furtki ogrodu. Stachurski pchnął ją dłonią i, skrzypiąc, roztworzyła się na ścieżaj. On zdjął czapkę i żegnał się...

* * *

— I, co najdziwniejsza, proszę pana — rzekł — to, że od owego dnia zaraza poczęła w Zarwaniu słabnąć, lżeć a w parę tygodni przeminęła zupełnie. Ludzie wierzyli, że była to sprawa Zabrzegi.

Zamyślił się i splunął:

— Tfu! Gusła bezbożne i tyle!

I wysoka, chuda postać starego kłusownika zniknęła w gęstej pomroce.



BAJKA
o rozpustnym rycerzu i bladej Hildegardzie.

Baron Gwido w ciężkiej był potrzebie. Prośbą ani groźbą nie mógł już na nikim wymódz pożyczki. Kosztowne naczynia, wschodnie dywany i tkaniny, nawet zbroje złotem wybijane, powędrowały do semickich przekupniów. Klejnoty żony były u włoskiego lichwiarza w zastawie. Wozy kupieckie unikały starannie dróg, przecinających okolice zamku. Zresztą mieszczanie z najbliższego grodu, którego czerwone baszty i wieżyce w jasny dzień widać było z okien zamkowych, tak się wprawili w rabowanie podróżnych, że baron Gwido z trudnością mógł z nimi współzawodniczyć. Napróżno odwoływał się do księcia z żądaniem ukrócenia tej swawoli, która godziła w najcenniejsze przywileje *Raubritter'a*. Książę okazywał zasmucającą obojętność wobec najżywotniejszych interesów swych wasalów. Pochłaniała go wyłącznie *arte biondeggiante;* marzeniem ambitnego pana było wynaleźć przy pomocy alchemii doskonałą farbę, którąby wszystkie ciemnowłose niewiasty państwa w rozkoszne blondynki zamieniła.

Baron Gwido z lekceważeniem wyrażał się o tej namiętności swego suzerena. Dla niego barwa włosów

była błahostką. Cóż znaczą sploty jasne i złociste, jeśli kobieta jest tak szczupłą i wątłą, jak jego żona Hildegarda? Rzetelny rycerz nie zwraca uwagi na gładkość niewiasty, ale na jej wagę. Baron Gwido kochał się w niewiastach o szerokich biodrach i ramionach, o piersiach wypukłych i jędrnych. Lecz w biesiadnej sali zamkowej dawno już zamilkły lubieżne śpiewy i chichoty rozkiełznanych dziewek. W piwnicach wina zbrakło, w skarbczyku drogich podarunków. Nawet mało wybredne nimfy leśne nie przyjmowały już zaproszeń rycerza, bo wolały uganiać się po polanach z wyuzdanymi faunami, niż w zamku pić cienkie piwo.

Dawni towarzysze zabaw rosprószyli się powoli. Kilku z nich, o wstydzie! z mieszczanami nie wahało się spijać po grodzkich winiarniach. Baron Gwido zmuszony był zasklepić się w cichem i nudnem życiu rodzinnem, które zgoła nie odpowiadało jego upodobaniom. Próbował wyładowywać swój zły humor na żonie; pobożna i słodka Hildegarda znosiła jego wybuchy z tak uległą pokorą, że nawet ta przystojna rozrywka, urozmaicająca w innych warunkach jednostajną temperaturę domowego ogniska, wprędce utraciła dlań powab.

W przymusowej samotności roznieciły się w tęgim rycerzu ojcowskie uczucia względem syna. Gdy nie stawało innego kompana, mimo żałosnych spojrzeń Hildegardy, baron Gwido przywoływał młodego Hugona do stołu i zaprawiał go do szklanki, ciesząc się szczerze ze zdolności, jakie okazywał w tym kierunku wyrostek. Hildegarda zamykała się wtedy wraz z małą córeczką w kaplicy zamkowej.

Lecz przyszły czasy tak srogie, iż zamkowemu panu w mieście nawet piwa nie chciano dać na kredyt. Przyparty do muru, baron Gwido postanowił sprzedać portrety rodzinne, między którymi było kilka wysoce misternych. Jeden z nich zwłaszcza, przedstawiający świę-

tobliwą matkę rycerza, a wymalowany przez sławnego Florentczyka, oddawna już budził pożądliwość włoskiego lichwiarza.

Baron Gwido z trudnością zdecydował się na ten krok. Atoli już od kilku dni żarło go nieznośne pragnienie, gdy zaś próbował gasić je wodą, wnet doznawał wrażenia, iż zielone żaby skaczą mu w żołądku. Wstydząc się gadatliwych pachołków, sam wziął młot do ręki, przyzwał syna i udał się do długiej galeryi, z której roztaczał się widok na szeroką polanę, zamkniętą w dali gęstym borem bukowym.

Hildegarda rozumiała, że próżnemi byłyby prośby i perswazye. Stała u drzwi galeryi blada i cicha, opuściwszy bezradnie wychudłą dłoń na złote włosy wylęknionej dziewczynki. Baron Gwido posuwał ostrożnie ciężki stół dębowy, wstępował nań z pomocą Hugona i kilkoma mocnemi uderzeniami młota wyjmował hak. Hugo zsuwał powoli obraz na kamienną posadzkę.

Już wszystkie portrety były zdjęte, prócz jednego. Na obnażonej ścianie pozostał tylko ten, który przedstawiał wizerunek świętobliwej matki rycerza. Hildegarda wyciągnęła błagalnie do męża ramiona. Baron Gwido zawahał się przez chwilę. Ciemne oczy matki patrzyły nań z powagą i miłością. Pod tym obrazem niejednokrotnie w latach młodzieńczych odmawiał pacierze. Rozstać się z drogą pamiątką? Włoski lichwiarz zapowiedział, że bez tego malowidła innych portretów nie nabędzie. Baron Gwido zacisnął gniewnie pięści, wskoczył na stół i trzasnął młotem w hak. Trzasnął raz i drugi. Hak krzepko sterczał w murze. Wreszcie zachwiał się. Hugo podbiegł, by opuścić obraz. Baron Gwido ujął hak palcami i pociągnął...

Z wylotu szpary trysnął nagle z dziwnym zgrzytem i gwizdem żółty, płomienny zdrój, rozpęknął się w powietrzu i wraz o flizy jęły bić okrągłe, dziewiczo-

czyste dukaty, jęły walić kamienie z przeraźliwym brzękiem. Baron Gwido cofnął się przerażony i zdumiony. Młot wypadł mu z dłoni. Hugo przypadł do jego nóg i zakrywał oczy, które ślepił mieniący się, ognisty blask złota. Hildegarda, zdjęta bezmiernym lękiem, niby kwiat podcięty kosą, osunęła się na kolana. I ona, i mała panienka, zgięły plecy w kabłąk, zbielałe twarze przysłoniły rękoma. Wśród niemej ciszy, z sykiem i rzęrzeniem głuchem sypał się złoty deszcz i tłukł w kamienne flizy. Dukaty talały się z łoskotem po posadzce, niektóre z nich leciały aż na drugi skraj galeryi, wywracały się u kolan Hildegardy. Hugo czuł, jak złoto osypuje mu stopy, czuł już jego ciężar na butach, i kurczowym ruchem czepiał się ramienia ojca. Ogromna kupa złota rosła w oka mgnieniu. Nagle gdzieś za ścianą, czy może w ścianie samej, wybuchnął śmiech okropny, szatański, śmiech, w którym nie było krzty wesołości, którego brzmienie ścinało krew i mroziło szpik w kościach. Śmiech urwał się i ostatnie dukaty leniwym łukiem spadły na usłane złotem flizy. W długiej galeryi stała się taka cisza, że słychać było gwałtowne bicie serc.

Lecz trwało to niedługo. Za chwilę baron Gwido już nurzał swe żylaste i czerwone dłonie w masie złota; w oczach zapaliły mu się ciemne ognie. Hugo, również uspokojony, nieznacznie wypełniał sobie dukatami kieszenie. Tylko matka i córka wciąż nie ruszały się z kolan, drżące i przytulone do siebie. Aż wreszcie Hildegarda powstała, objęła ramieniem panienkę, jakby chcąc ją ochronić od płomiennych blasków tajemniczego złota, i poprowadziła wolno ku drzwiom.

— Ciebie tylko mam, szeptała więcej do siebie, niż do dziewczęcia, tyś jedna tylko mi została!...

* * *

W biesiadnej sali zamkowej było wesoło. Świece jarzyły się bez liku. W kącie przygrywała dziarska kapela. Przy suto zastawionych stołach rozsiadła się hulaszcza kompania. Uczta zaczęła się w południe, wieczór ciemny zapadł i nikt nie ruszył się z miejsca. Pachołkowie roznosili misy z wyszukanem jadłem, bacząc pilnie, by dzbany były wciąż pełne. Gdy baron Gwido postrzegł przed jednym z gości pusty dzban, wyrznął nim usługującego pachołka w łeb tak szczerze, że ów padł, krwią zalany. Pachołkowie zdwoili czujność. Zrazu w przerwach między jednem a drugiem daniem popisywali się wędrowni kuglarze, budząc podziw i burzliwe wybuchy śmiechu. Skoro jednak czary gęściej jęły krążyć, rozbawieni widzowie poczęli okazywać ciekawość, która zaniepokoiła sztukmistrzów. Jeden z młodszych rycerzy, wysoce podniecony widokiem zagadkowego łykania ognia, chciał koniecznie własnemi rękami wtłoczyć chudemu kuglarzowi w gębę zapalone łuczywo. Insza znów dziewka, zachwycona długim zwojem różnobarwnych wstążek, które drugi sztukmistrz bez końca z gardła ciągnął, prosiła grzecznie sąsiadów, by kuglarzowi brzuch rozpruli i niewysychające źródło owych wstążek w darze jej ofiarowali. Podochoceni i dla białogłowy ulegli rycerze wzięli już noże do rąk i kuglarz ucieczką przez okno salwować się musiał.

Hej! wesoło było w biesiadnej sali zamkowej! Baron Gwido umiał podejmować gości, gdy w skarbczyku nie brakło dukatów. Zaproszone rycerstwo z rozrzewnieniem wychwalało jego gościnność. Jadła przednie, wina tęgie, dziewki gładkie, możeż być większa uciecha dla szlachetnie urodzonych panów?

A jednak nie wiele brakło, by rozradowanemu gospodarzowi nie popsuto zabawy. Gdy mrok gęstnieć poczynał, Hildegarda przysłała służebnę, iżby do córeczki szedł, która zachorzała niespodzianie. W oddalonej

od sali biesiadnej komnacie Hildegarda siedziała u wezgłowia panienki, która, gorączką zmożona, z trudnością łypała powietrze i szklanemi oczyma wpatrywała się w matkę. Lecz baron Gwido nie chciał w dniu wesela choroby w domu.

— Do jutra zdzierży! — odpowiedział szorstko żonie. Dziś przyjaciół mam, których podejmować muszę.

— Co ja uczynię, jeśliby ona mię odeszła! — załkała rozpaczliwie Hildegarda.

W rycerzu już-już gniew wzbierał na małżonkę, która nigdy nie potrafiła go zrozumieć. Pohamował się jednak i wyszedł, zakazując surowo, by go więcej nie odwoływano od stołu. Wrócił do sali, wychylił duszkiem olbrzymi puhar wina i posadził sobie na kolanach dwie rozrosłe dziewki.

Coraz weselej było w biesiadnej sali zamkowej. Muzykanci, choć spici uczciwie, wygrywali z wściekłą ochotą. Mało która pani siedziała już na swoim stołku. Usta kraśniały od ognistych pocałunków. Gorsety pękały i z pośród barwnych tkanin wykwitały śnieżnobiałe piersi. Rósł chichot i pisk broniących się dziewek. Hugona, który dotychczas trzymał się boku ojca, przyciągnęła dojrzała niewiasta i pieściła z niemacierzyńskim afektem. Podrostek nieśmiało z wypiekami na twarzy, przymknął się do jej wilgotnych warg. Przez rozwarte na ścieżaj okna kilka bezwstydnych nimf leśnych wdarło się do sali. Ponieważ niosły z sobą przykry zapach, pachołkowie wygnali je kijami, tem bardziej, że miejskie dziewki jęły oburzać się na tak niedobrane towarzystwo. Lecz baron Gwido, mając wobec nich długi wdzięczności, kazał im wytoczyć na murawę beczkę cieńszego wina, aby z faunami i parobkami poweselić się mogły. Zwabiony hałasem i wonią ciała niewieściego, młody centaur wymknął się z gąszczów bukowych i zbliżył ciekawie do okna. Jedna z rozpustniejszych dziewek,

obaczywszy go, skoczyła prędko na framugę. Centaur spojrzał na nią błyszczącemi ślepiami, zarżał radośnie, chwycił ją za szyję i zarzucił na grzbiet. Rycerze rzucili się do okna, lecz on już galopował przez polanę i zniknął w gąszczach.

Wtem muzyka umilkła. Jak nożem przeciął, nagle urwały się śpiewy i śmiechy. Lica wszystkich zwróciły się w jednym kierunku. W głębi, na progu, stała Hildegarda w czarnej sukni, wysoka i smukła, dziwnie blada. Jej szeroko rozwarte, błędne oczy spoczęły naprzód na mężu, który na tłustych kolanach huśtał dwie swywolne gamratki i zaraz potem na synu, którego coraz czulej przygarniała do swego łona przekwitła dama. Czarno przyodziana pani przesunęła dłonią po białem czole, zachwiała się i zniknęła. W biesiadnej sali przez długą chwilę była cisza. Wszyscy czuli się pod wrażeniem smutnego zjawiska. Aż wreszcie baron Gwido chwycił za puhar, przytknął go gwałtownie do ust i opróżniony grzmotnął ze złością o posadzkę. Za oknami ozwał się przeciągły bek fauna, którego na murawie wyuzdane nimfy przygniotły zbyt mocno. W kącie rozległ się krwawy śmiech. Ten i ów począł pytać, co się stało. Baron Gwido ściągnął groźnie brwi i unikając tłumaczeń, jął zapraszać do dzbanów. Pachołkom wydał gniewnym szeptem rozkazy. Do sali wśliznęła się nieśmiało dziewka, która dała się unieść zuchwałemu centaurowi. Twarz miała czerwoną, oczy zamglone. Powitał ją grad rubasznych dowcipów. Zabrzmiała kapela, zadzwoniły czary, do serc biesiadników wróciła nowa ochota. Hej! baron Gwido umiał godnie podejmować gości...

* * *

Na nizkiem posłaniu leżały ochłódłe już zwłoki dziewczątka. Hildegarda czuła, że nie strzyma bolu,

który w niej szalał. W głowie plątało się i mąciło. Cisnęła się na kolana: nie modlitwa, lecz krzyk rozpaczy wydzierał się z ust. Jedna myśl wracała wciąż, niby ostrze, wrzynające się w trzewia: Niema jej! Odeszła na zawsze! I jedno pragnienie biegło wślad za tą myślą: Umrzeć, umrzeć jak najprędzej, połączyć się z ukochanem dzieciątkiem, społem z niem zapukać do bram niebieskich!...

Umrzeć? Hildegarda rozumiała, że gdyby sama odjęła sobie życie, dusza jej nie mogłaby pójść tą samą drogą, którą teraz napewno wiedli przesłodcy aniołowie białą duszyczkę jej panienki. Któż zmiłuje się nad nią, by ją od grzechu i kary wiecznej uchronić? Ani służebne, ani z pachołków żaden nie uczyni jej takiej łaski. Kto się zmiłuje? Zimna błyskawica rozświetliła jej zgorączkowany mózg. Hen, w małej karczmie wśród boru, tam, gdzie krzyżują się drogi, mieszka stary zbój, na całą okolicę głośny. Ów nie widział z pewnością nigdy małżonki rycerza Gwidona. Hildegarda chwyciła z puzdra sakwę z dukatami i gruby naszyjnik z pereł, który niedawno otrzymała w darze od męża. Zarzuciła go na szyję. Karczmarz złakomi się niechybnie, gdy ujrzy drogocenny klejnot...

Wązką drożyną poprzez bór bukowy biegnie bez tchu Hildegarda. Spieszy się, bardzo spieszy, bo niepokoi się i trwoży, czy dusza jej, gdy wyzwoli się z więzów, zdoła dogonić białą duszyczkę panienki, którą prowadzą przesłodcy aniołowie. Najwyższy Sędzia przecież wybaczy jej to pragnienie śmierci, skoro sama nie targnie się na swe życie. Najwyższy Sędzia wybaczy, bo On, Wszystkowiedzący, wie dobrze, iż dalsze życie byłoby dla niej męką nie do zniesienia. Mąż czartu na służbę poszedł, zamek ojców w dom rozpusty zamienił, Hugo rodzica wziął sobie za wzór. Jasnowłosa maleńka odeszła, zostawiła ją samą...

Wązką drożyną poprzez bór biegnie bez tchu Hildegarda. Stare buki milczą posępnie. Z głębi lasu idą dziwne szepty i westchnienia, niekiedy ozwie się jęk daleki i krótki, to znów rozlegnie się śmiech bolesny i nieszczery. Lecz największą trwogą przejmują chwile ciszy, ciszy dusznej, ołowianej, która zdaje się poprzedzać coś strasznego. Serce Hildegardy przestaje bić wówczas z lęku. Do skroni krew uderza. Nieśmie obejrzeć się, tylko biegnie jak szalona.

Mignęło wątłe światełko. Ognik błędny? Nie, to już zapewne przydrożna karczma. Hildegarda nie zawahała się na moment. Zapukała do wązkich drzwi. Zapukała raz drugi i trzeci. Aż wreszcie usłyszała głośny stuk butów w sieni i zasuwa zgrzytnęła. Drzwi się rozwarły i z progu mierzył ją nieufnem spojrzeniem chłop wysoki, brodaty i brzydki.

— O nocleg proszę. Jestem sama i bez opieki. Zapłacę sowicie. Pieniędzy mi nie braknie!

— Raczcie wnijść.

Hildegarda wstąpiła do mrocznej sieni. Drzwi zawarły się za nią z łoskotem. Brodaty chłop powiódł ją do izby, słabo oświetlonej olejnym kagankiem. W kącie siedziała tłusta i czerwona wiedźma. Na widok przybyłej pani porwała się z miejsca i jęła usługiwać jej natarczywie, zasypując pytaniami. Hildegarda jak senna powtarzała:

— Bardzom znużona, o nocleg proszę. Jestem sama i bez opieki...

Tłusta baba pożądliwie spoglądała na kosztowny naszyjnik z pereł. W małych jej czarnych oczach świeciły żółte ognie. Lecz chłop patrzył na Hildegardę z ponurą nieufnością.

Umieszczono ją w ciasnej izdebce. Hildegarda rzuciła się w ubraniu na twarde łóżko. Udawała, że śpi czekając odważnie chwili, kiedy zbójecka para rzuci się

na nią i uśmierci. Karczmarz tymczasem naradzał się z żoną. Wytworna pani, wystawiająca na pokaz tak cenne klejnoty, chełpiąca się, że złota jej nie braknie, wydawała mu się podejrzaną. Wietrzył podstęp. Mordował już nieraz podróżnych dla nader mizernego zysku, niemal z ochoty. Nie chciał jednak dać złowić się w pułapkę. W babie również ostrożność przemogła. Naszyjnik z pereł nęcił ją, ale do szubienicy czuła na równi z mężem odrazę. Wydawało im się niepodobnem, ażeby takie bogactwo lazło bezkarnie do rąk zwykłego zbója. Musiało się za tem coś kryć. Na wszelki wypadek karczmarz postanowił zwlec do rana.

Hildegarda usiłowała odmawiać modlitwy. Godzina mijała za godziną, nikt nie przerywał jej spoczynku. W małem okienku dzień poczynał sinieć. Czemuż karczmarz nie przychodzi? Kiedyż nadejdzie upragniona chwila, w której dusza jej, wyzwolona z więzów, poszybuje za białą duszyczką panienki? Z za węgła rozległ się śmiech okropny, szatański, ten sam, który słyszała wówczas, gdy dukaty syczały w galeryi zamkowej żółtym, płomiennym zdrojem. Ten sam śmiech, którego brzmienie ścinało krew i mroziło szpik w kościach. I jednocześnie w oddali zahuczały trąby, przed karczmą zatętniały kopyta końskie. Co się stało?

W sieni dało się słyszeć głośne i ciężkie stąpanie. Drzwi rozwarły się gwałtownie. Na progu stanął barczysty, brodaty karczmarz. Czyżby nadeszła wreszcie upragniona chwila?

Hildegarda przeciera oczy. Kogóż widzi, przebóg! za karczmarzem? Baron Gwido patrzy na nią posępnym wzrokiem. W zamku postrzeżono ucieczkę bladej pani. Hufiec rycerzy ruszył w jej tropy. Cieszą się głośnym śmiechem, iż odnaleźli zbiega.

Zbójecka para nie tai wesela! Jakże radzi oboje, że zbyt pochopnie nie wzięli noża do rąk!...

Więc uciec chciałaś, Hildegardo? przed losem uciec chciałaś? Baron Gwido marszczy groźnie czoło. W narożnej baszcie wyznaczy żonie odtąd mieszkanie, a strzedz jej pilnie będą pachołkowie. Dowiesz się teraz, Hildegardo, że choć żyć bywa czasem trudno, śmierć w porę nie przychodzi nigdy.



Piękna ogrodniczka.

Fragment sceniczny w jednej odsłonie.

Osoby:

JAN MODRZEWSKI	lat 35
ZOFIA, jego żona	» 20
HENRYK, jego przyjaciel	» 40
WIDEŁKIEWICZ	» 45
SŁUŻĄCY	» —

Scena pierwsza.

Salon wykwintnie umeblowany; przeważa »modern-style«. Z prawej strony dwoje drzwi: pierwsze prowadzą do gabinetu Jana, drugie do jadalni. W głębi drzwi, wiodące do przedpokoju. Z lewej strony na nizkim stoliku duża palma. Na stole taca z czarną kawą i likierami.

Jan, Zofia, Henryk. *(Zofia krząta się koło stołu, nalewając czarną kawę do filiżanek. Jan podaje Henrykowi pudełko z cygarami. Cała rozmowa prowadzona jest w tonie lekkiego salonowego persiflażu).*

Henryk *(zwraca się do Zofii).* Pani pozwoli? *(Zofia uśmiecha się potakująco).*

Jan. U nas można palić wszędzie.

Zofia *(tonem przekomarzania się).* Tak, u nas mogą palić wszyscy i wszędzie — prócz mnie jednej.

Henryk *(siedzi wygodnie w fotelu i ciągnie z widoczną rozkoszą cygaro)*. Jakto, pani ma ochotę, a mąż nie pozwala?

Jan. Wyznam ci szczerze, iż nie lubię kobiet palących.

Zofia *(jak wyżej)*. A pani Helena? Nie zaprzeczysz chyba, że ci się bardzo podoba, mimo, że nie wypuszcza papierosa z ust.

Jan. Pani Helena nie była moją żoną... *(tonem żartobliwie-mentorskim)*. Zaś twoim obowiązkiem... źle mówię, celem twego życia winno być stosowanie się do moich upodobań!...

Zofia. Niegodziwiec! w sześć miesięcy po ślubie!... *(Zwraca się do Henryka)*. Niech pan sam powie, czy ja mogę być z tym człowiekiem szczęśliwą?

Jan. Musisz! To także twój obowiązek! Znienawidziłbym cię, gdybyś się nie czuła ze mną bardzo szczęśliwą.

Henryk *(z udaną powagą)*. Jaś ma słuszność. Musi pani być szczęśliwą. Jeśli pani nie chce zrobić tego dla niego, niech pani to uczyni dla mnie.

Zofia. Więc i pan, zamiast wziąć moją stronę?...

Henryk. To tak przyjemnie mieć przyjaciela żonatego, u którego od czasu do czasu można zjeść dobre śniadanie — naprzykład, jak dzisiejsze — a po śniadaniu wypalić doskonałe cygaro w miłej, wesołej atmosferze... szczęścia rodzinnego...

Jan *(śmieje się)*. Stary cynik!... Chcesz koniaku? *(Nalewa Henrykowi i sobie. — Parę sekund milczenia)*.

Henryk. Chwilami jednak smutno mi, żem utracił dobrego towarzysza... *(Zwraca się do Jana)*. Mamy sporo wspólnych wspomnień, nieprawda?

Zofia. Wspomnień hulanek i orgij.

Jan. Mówisz, jak zacny pleban wiejski... Orgij! Te nasze orgje!

Zofia *(zajęta własnemi myślami — do Henryka).* Sądzi pan, że Jaś nie wróci już do tych zabaw?

Henryk *(żywo).* Co najmniej przez pół roku jeszcze.

Zofia *(hamuje wrażenie).* Doprawdy? A potem? *(Henryk i Jan poczynają się śmiać, Zofia spostrzega, że z niej żartują i dostraja się do ich tonu z nieco sztucznem ożywieniem).*

Zofia. Bo ja będę zazdrośna... zazdrośna! *(Do męża):* Spojrzyj, jakie mam ostre paznogcie... jeśli mnie zdradzisz, wydrapię ci oczy!

Henryk. Niech pani to uczyni wcześniej, w ten sposób łatwiej zapobiegnie pani zdradzie. Ale seryo, zupełnie seryo... poco pani wybrała sobie za męża takiego uwodziciela, lamparta?...

Jan *(spuszcza skromnie oczy).* Przesadzasz!

Henryk. Wcale nie! Lamparta, zjadacza serc...

Zofia *(patrzy rozkochanym wzrokiem na męża).* Czy pan myśli, że młodym pannom podobają się mężczyźni, na których inne kobiety nie chcą patrzeć? Alboż my wiemy — zwykle przynajmniej — na czem polega istotna wartość mężczyzny? Mierzymy ją powodzeniem u kobiet bardziej doświadczonych. A rozkosz tryumfu: »Patrzcie, oto go wam zabrałam i przykułam do siebie na zawsze!«... Ja nie jestem zazdrośną o przeszłość... tylko teraz... *(Śmieje się — pokazuje mężowi paznogcie).*

Henryk *(trochę ironicznie).* To się szczęśliwie składa. Inaczej z tą przeszłością miałaby pani dużo zmartwienia. *(Do Jana). A propos!* wiesz, że jedna z twych ostatnich ofiar nie żyje? *(Jan robi znak zdziwienia).* Nie wiesz?... »piękna ogrodniczka«...

Jan *(wzruszony).* Emma?

Henryk. Tak jest, Emma. Umarła w parę tygodni po ślubie i wyjeździe państwa.

Zofia *(przejęta silniej tą wiadomością, niżby pragnęła okazać).* Z rozpaczy?

Henryk. Nie, z zaziębienia, które wywołało gwałtowne zapalenie płuc. Dowiedziałem się wypadkiem, gdym w kilka dni po pogrzebie zaszedł zamówić jakiś bukiet...

Jan *(zamyślony)*. Biedna Emma!

Zofia *(jak wyżej)*. Mówiłeś pan: »piękna ogrodniczka«...

Henryk. Tak ją nazywaliśmy z Jasiem... *La belle jardinière!* Bodaj, że była taka farsa czy operetka... Tytuł ten należał się jej ze wszech stron, była bowiem i ładną i ogrodniczką... *(Chwila ciszy. Henryk spostrzega, iż wiadomością swą wywołał przykre wrażenie, i chcąc je zatrzeć, poczyna ironizować)*. Bo pani zapewne sądziła, że Jaś działał tylko w świecie i półświecie! Wcale nie! Przyszły jego biograf będzie mógł śmiało powiedzieć: był przedsiębiorczym, energicznym i ruchliwym, nie zasklepiał się w czczych przesądach.

Jan *(jeszcze poruszony)*. Daj pokój żartom. Biedna Emma! *(Zofia od kilku chwil patrzy uważnie na męża)*.

Zofia *(głosem, którym pragnie udać obojętność)*. Kochałeś ją? *(Brzmienie tych słów zwraca uwagę Jana — wytrzymuje długie spojrzenie Zofii i odpowiada z lekkiem wahaniem)*.

Jan. Nie... może trochę... teraz zapomniałem już dawno... Lecz śmierć osoby, którą znało się blizko, z którą łączą się liczne wspomnienia, to zamarcie jakiejś cząstki naszego własnego »ja«... W duszy nad tem wspomnieniem staje grobowy krzyż...

Henryk. Brr!... Co za posępny nastrój!... Niechże pani da mi na pociechę jeszcze jeden kieliszek koniaku. *(Zofia nalewa, poczem opiera się na poręczy fotelu, w którym siedzi Jan. Ten bierze rękę żony i podnosi ją do ust)*.

Jan *(patrzy jej w oczy)*. Nie gniewasz się?

Zofia *(z bezwiednym odcieniem smutku — ręką przesuwa po jego włosach)*. O co?

Jan *(puszcza rękę żony i po chwili mówi do Henryka)*. A cóż się dzieje z mężem?

Henryk *(niechętnie, udając, że nie rozumie)*. Z jakim mężem?

Jan. No, z mężem Emmy.

Henryk. Jeśli to możliwe, jest jeszcze więcej milczącym, niż dawniej... Ach, co to za typ! *(Uśmiecha się)*.

Jan *(twarz zaczyna mu się rozjaśniać wspomnieniami)*. Czy on zawsze nosi spodnie w owe wielkie, czarne i białe kraty?

Henryk. Naturalnie. A, piękny nie jest... *(Do Zofii)*. Niech pani sobie tylko wyobrazi: wysoki, o barach szerokich, jak drzwi, twarz czerwona, bez żadnego zarostu, wielkie, odstające uszy i ogromna, jasna czupryna, jak z konopi. I te wiecznie kraciaste spodnie.

Jan *(rozwesela się zwolna)*. Pamiętasz, jak mu zawadzały ręce? Nie wiedział nigdy, co z niemi robić, gdzie je podziać... Nabierał swobody dopiero, krzątając się koło kwiatów. Dziwiło mnie zawsze, jak on mógł z temi łapskami obchodzić się tak zręcznie z najdelikatniejszemi krzewami... Nawet nie brakło mu pewnego wykształcenia, kończył bowiem jakąś szkołę zagranicą... *(Obojętnie)*. Podobno bardzo porządny człowiek i zdolny ogrodnik... kochał dzieci...

Zofia *(z niejasnym wyrzutem w głosie)*. Więc oni mieli dzieci?

Jan *(trochę zmięszany)*. Aż troje! *(Po chwili)*. Biedne maleństwa!

Henryk *(chcąc zwrócić rozmowę na inne tory)*. Cóż państwo będziecie robić dziś popołudniu? dzień taki śliczny, wiosenny...

Zofia *(przerywa)*. Mój drogi panie, zaraz... Nic jeszcze nie powiedzieliście mi o samej »pięknej ogrodniczce«... Wiem, jak się jej mąż ubiera, a o niej samej nic.

Jan *(niechętnie)*. Dajmy już temu pokój...

Zofia *(siada na poręczy jego fotelu i znowu głaszcze go po włosach).* Mój drogi, mój Jaśku, ja chcę wiedzieć...

Jan *(z lekkiem zniecierpliwieniem).* Miała głowę, i ręce...

Henryk. Nawet spore...

Jan. ... i nogi...

Henryk. ... do samej ziemi...

Zofia *(robi minę zagniewaną).* Nieznośni jesteście! Panie Henryku, bądź pan lepszym od Jasia...

Henryk *(do Jana).* Pozwalasz? *(Jan wzrusza ramionami).*

Henryk *(poważnie).* Miała głowę, ręce...

Jan. ... nawet spore...

Henryk. ... i nogi... *(Zofia zatyka mężowi usta dłonią i śmieje się, choć jest trochę zadąsana).*

Zofia. Teraz, już naprawdę się gniewam. Bawicie się ze mną, jak z dzieckiem. Idę do swego pokoju i więcej nie wrócę. *(Chce odejść, Jan ją zatrzymuje).*

Jan *(łagodnie).* Złośnica!... powiedz zatem czego sobie życzysz?

Zofia *(trochę rozkapryszona).* Chcę, żebyś mi powiedział, jak wyglądała ta... pani Emma, ale bez drwin, tylko poważnie...

Jan *(łagodnie).* Kapryśnica! Więc słuchaj! Była średniego wzrostu, o kształtach w miarę okrągłych... *(Do Henryka).* Prawda?

Henryk. Najprawdziwsza.

Jan. Oczy błękitne, niezbyt wielkie, lecz pełne słodyczy, i włosy jasne, o ciepłym, złotawym odcieniu... Wyglądała niezmiernie świeżo... *(bezwiednie zapala się zwolna wspomnieniem — do Henryka).* Pamiętasz ją, Heniu, w niebieskiej, perkalowej sukni, za ladą sklepową, zastawioną kwiatami ciętemi, za tą masą różnobarwnych, połyskujących kroplami rosy kwiatów!... Robiła wrażenie niezapominajki...

Henryk. Powiedziałeś jej to, a ona odrzekła: »Zapomnij pan o mnie!«...

Jan. Brakło jej szyku i nie umiała zgrabnie chodzić. Lecz w oczach jej tkwił dziwny sentyment... W ogóle była sentymentalną... Miała fatalną namiętność do pisywania czułych listów. Ta korespondencya *poste-restante* była ciemną stroną sielanki.

Zofia. Twoje opowiadanie daje tyle pojęcia, co rysopis paszportowy: Wzrost średni, oczy błękitne, włosy jasne. Szkoda, żeś nie dodał: znaków szczególnych niema! *(Przechyla się ku niemu — figlarnie).* Ja chcę czego innego.

Jan. Czego?

Zofia *(pochyla się jeszcze więcej ku niemu tak, że nie widać prawie jej twarzy).* Fotografii.

Jan. Jakiej fotografii?

Zofia *(głosem rozpieszczonym).* Fotografii »pięknej ogrodniczki«.

Jan. A ty skąd wiesz? Plądrowałaś po mojem biurku?

Zofia *(staje przed nim w pozie zakłopotanej pensyonarki — i ze spuszczonemi oczyma trzepie).* Proszę pana, ja tylko raz niechcący spojrzałam, jak dolna szuflada była wysuniętą, i zobaczyłam — niechcący, jak mamę kocham — paczkę fotografij, obwiązanych wązką, różową wstążeczką...

Henryk *(ironicznie).* Różową wstążeczką!

Zofia *(jak wyżej).* Więc domyśliłam się, że to pamiątki z kawalerskich czasów... Ale nie zajrzałam, proszę pana, choć straszną miałam ochotę — nie zajrzałam, jak mamę kocham.

Jan *(mimowoli uśmiecha się).* I cóż z tego wszystkiego?

Zofia *(jak wyżej).* Więc ja przypuszczam, raczej jestem pewna, że tam jest również i fotografia »pięknej

ogrodniczki« — i proszę, bardzo proszę, by mi pan pokazał na jedną maleńką chwileczkę. *(Przymila się).*

Jan *(w podobnie żartobliwym tonie).* Niechno pani przestanie być rozkapryszonym podlotkiem!... Niema fotografii, rozumie pani? *(Zwykłym głosem).* A jeśli chcesz koniecznie, to mogę ci wskazać inną pamiątkę po niej. Ta palma... *(wskazuje na krzew)* pochodzi z jej sklepu.

Zofia *(obrzuca wzrokiem palmę).* Palma nic mię nie obchodzi. *(Kapryśnie).* Ja chcę widzieć fotografię... *(Henryk przed kilku chwilami wstał — odszukał swój kapelusz i rękawiczki. Teraz staje przed Zofią i składa uroczysty i pożegnalny ukłon).*

Zofia *(zdziwiona).* A to co znowu? Pan już odchodzi?

Henryk *(z wyszukaną uprzejmością).* Nie chcę państwu przeszkadzać w tak ożywionej dyskusyi... Wrócę innym razem, gdy państwo będą swobodniejsi.

Jan *(śmieje się).* Masz naukę! Ot gospodyni, rozumiejąca swe obowiązki względem gości!

Zofia *(do Henryka z żywością).* Przepraszam bardzo, ja pana nie traktuję jako gościa, ale jako przyjaciela, z którym się nie robi ceremonii... skoro jednak pan sobie tego życzy... *(Wskazuje mu fotel, siada w drugim obok niego — i z przesadną uprzejmością).* Dobrze się pan bawił w karnawale?

Henryk *(stosuje się do jej tonu).* Wybornie, karnawał był bardzo ożywiony...

Zofia *(jak wyżej).* W poście również dużo było pięknych rautów... *(patrzą sobie przez chwilę w oczy i wybuchają śmiechem).*

Zofia *(z żartobliwym uśmiechem do męża).* Widzisz, że potrafię prowadzić salonową rozmowę, a jeśli pan Henryk nie poznał się na moich zdolnościach, to już nie moja w tem wina.

Henryk *(z udaną powagą)*. Temi kilkoma zręcznemi frazesami zaimponowała mi pani... *(patrzy na zegarek)*. Tem niemniej muszę iść...

Jan. Ani myślę cię puścić: Kazałem zaprządz, pojedziemy we trójkę za miasto. Pogoda taka cudowna!

Henryk. Żałuję bardzo. Nie mogę.

Zofia. Nudzi się pan z nami?

Henryk. Co pani mówi? Jest mi z państwem bardzo dobrze. Lecz w sześć miesięcy po ślubie największe szczęście zakochanych małżonków polega na samotności — we dwoje.

Jan *(obejmując żonę ramieniem)*. Mylisz się. Szczęście we dwoje odczuwa się dopiero wówczas, gdy je podziwia — ktoś trzeci...

Zofia *(grozi mu palcem z wymówką)*. Brzydal!

Henryk. Powtóre dlatego, że umówiłem się z kimś w klubie.

Jan. Ten ktoś poczeka do jutra... Pójdziesz do mego gabinetu, napiszesz liścik, w którym wytłumaczysz swą nieobecność chorobą, trzęsieniem ziemi, lub schadzką z przejezdną księżną rumuńską — i pojedziemy do Wilanowa. Zgoda?

Henryk *(pochyla głowę przed Zofią)*. Skoro pani rozkazuje...

Zofia *(podaje mu rękę)*. Rozumie się, że rozkazuję.

Jan *(do Henryka)*. Więc prowadzę cię do mego biurka... *(Jan wychodzi pierwszy — Henryk za nim. Gdy Jan zbliża się do drzwi — Zofia woła)*.

Zofia. Jasiu! *(Jan zatrzymuje się i odwraca)*. A fotografia?... Skoro idziesz do biurka...

Jan *(udaje, że nie rozumie)*. Jaka fotografia?

Zofia *(z dąsem)*. No, przecież nie twego ogrodnika z wygoloną twarzą, konopiastą czupryną i odstającemi uszami. O nim wystarcza mi wiadomość, że lubi... materyały w duże kraty...

Jan *(kiwa głową, potem do Henryka, wskazując na Zofię)*. Miła osoba, lecz nudna!

Zofia *(składa ręce)*. Mój złoty!

Henryk. Ostatecznie czemuż się wzdragasz, skoro pani tak pragnie...

Jan *(wahając się)*. Słowo daję, że niema sensu. Poprostu nie wypada...

Henryk *(ironicznie)*. Względem kogo?

Jan *(wahając się)*. Choćby... względem tego zacnego ogrodnika.

Henryk *(ironicznie)*. Czyś był zawsze względem niego... równie skrupulatnym?

Jan *(po chwili namysłu — do żony)*. Więc zaczekaj chwilkę... *(Jan i Henryk wychodzą. Zofia stoi przez chwilę w milczeniu przy stole — dzwoni na służącego i potem, zamyślona, zbliża się do palmy i głaszcze bezwiednie jej liście)*.

Scena druga.

Zofia, służący. *(Wchodzi służący)*.

Zofia *(wskazuje na stół, zastawiony przyborami do kawy)*. Można sprzątnąć.

(Służący ustawia wszystko na tacy i wychodzi drzwiami do jadalni. W przedpokoju słychać dzwonek. Zofia nie zwraca uwagi, jak służący przechodzi znów przez salon do przedpokoju, zamyka drzwi. Słychać otwieranie drzwi od przedpokoju. Zjawia się ponownie służący).

Służący. Ktoś do pana z interesem.

Zofia *(obojętnie)*. Niech Andrzej poprosi tutaj. Pan zaraz przyjdzie. *(Służący wychodzi do przedpokoju. Zofia zwolna oddala się od palmy ku drzwiom, prowadzącym do jadalni)*.

Scena trzecia.

Zofia, Widełkiewicz.

(We drzwiach od przedpokoju zjawia się Widełkiewicz; spodnie w duże, czarne i białe kraty, czarny i niemodny tużurek, szczelnie zapięty, twarz czerwona, wygolona, bujna, konopiasta czupryna, uszy odstające. Zofia spostrzega go już niemal w progu drzwi od jadalni, wydaje lekki okrzyk — poznaje męża »pięknej ogrodniczki« — i zatrzymuje się nagle. Służący został w przedpokoju, zamknąwszy drzwi od salonu. Widełkiewicz, zakłopotany i niezgrabny, kłania się niezgrabnie pani Zofii, widocznie nie wiedząc, co z sobą zrobić. Na twarzy pani Zofii maluje się lęk, przez moment waha się, wreszcie zbiera na stanowczą decyzyę. Odwraca się ode drzwi, robi kilka kroków ku niemu, chce coś powiedzieć, jednak milczy. Widełkiewicz, coraz więcej zakłopotany, przestępuje z nogi na nogę, wreszcie odchrząkuje z cicha):

Zofia *(chcąc przerwać milczenie).* Mąż mój nadejdzie za chwilę.

Widełkiewicz *(kłania się w milczeniu i obrzuca ją długiem spojrzeniem).*

Zofia *(waha się; chce coś powiedzieć, wstrzymuje się, wreszcie mówi nieśmiało).* Jeśli pan ma interes, to może jabym mogła...

Widełkiewicz *(zmieszany, odchrząkuje, po chwili namysłu).* Mam interes osobisty do pana Modrzewskiego... *(Zofia cofa się do stolika, przerzuca bezwiednie książki, od czasu do czasu spogląda na Widełkiewicza z bezradną bojaźnią. On również coraz więcej zakłopotany jej obecnością i spojrzeniami. Nagle spostrzega palmę. W oczach błyska mu jaśniejszy ogień, prawie półuśmiech).*

Widełkiewicz *(zcicha).* A!... nasza palma!... *(Zbliża się do krzewu, ogląda bacznie, spogląda w stronę Zofii, odwraca szybko oczy, mruczy coś pod nosem, kładzie kapelusz na krześle, sięga dłonią do kieszeni i wyjmuje duży nóż ogrodniczy).*

Zofia *(śledząc wszystkie jego ruchy — z przestrachem):* Ach! *(Widełkiewicz drgnął i odwrócił się ku niej z py-*

tającem spojrzeniem. Widząc, że Zofia nic nie mówi, półgłosem, jakby się bał mówić głośno).

Widełkiewicz. Palma trochę zanieczyszczona... *(waha się, nie wiedząc co zrobić).*

Zofia. Bo jeśli jaki mniej ważny interes, to ja sama mogłabym... *(Widełkiewicz, jakby oprzytomniał na dźwięk jej słów, składa nóż, chowa go do kieszeni i odpowiada miększym głosem).*

Widełkiewicz. Osobisty interes, proszę pani... *(Chwila ciszy. Słychać kroki w przyległym pokoju. Zofia drgnęła i bezwiednie posuwa się ku drzwiom, w których ma ukazać się Jan).*

Scena czwarta.

Poprzedni, Jan. *(Wchodzi Jan, uśmiechnięty, wesoły. W ręku trzyma gabinetową fotografię, którą zlekka wymachuje. Na razie nie widzi Widełkiewicza).*

Jan *(swobodnie do żony).* Przyjrzyj się zatem... *(Urywa nagle, spostrzegłszy Widełkiewicza i staje, jak wryty, instynktownie kryjąc w ręku fotografię. Widełkiewicz wyprostował się i spochmurniał. Przez sekundę mierzą się wzrokiem. Jan ochłonął wreszcie z pierwszego wrażenia i sili się na spokój).*

Jan *(uprzejmie).* A... pan Widełkiewicz... Służący nic mi nie powiedział... *(Pauza).* Czem panu mogę służyć?... *(Widełkiewicz spogląda na Zofię, dając do zrozumienia, że jej obecność przeszkadza w rozmowie. Jan daje wzrokiem Zofii do zrozumienia, że powinna wyjść, ona jednak zdaje się tego nie widzieć).*

Jan *(udając obojętność).* Niech pan mówi, panie Widełkiewicz... Wszak nie mamy tajemnic...

Widełkiewicz *(stłumionym głosem).* Pragnę z panem pomówić sam na sam...

Jan *(zmieszany — uprzejmie).* Jestem dziś bardzo zajęty... Mamy wyjechać z żoną... Powóz już czeka przed bramą... *(Idzie parę kroków do okna).* Tak, już czeka... Może innym razem, panie Widełkiewicz...

Widełkiewicz. Wiele czasu panu nie zabiorę. Pragnę dzisiaj załatwić mój interes. *(Miękcej).* To nie potrwa długo. *(Chwila milczenia. Jan patrzy niezdecydowanym wzrokiem na Zofię).*

Jan *(do żony).* Może zostawisz nas, Zosiu, na chwilę... *(Zofia nie rusza się z miejsca)* ... na chwilę tylko... prawda, panie Widełkiewicz? Włóż przez ten czas kapelusz... zaraz jedziemy... *(Niecierpliwiej).* Dobrze, kochanie? *(Zofia odwraca się twarzą do męża a tyłem do Widełkiewicza. W oczach jej tkwi trwoga).*

Zofia *(cicho).* Kiedy... Jasiu...... *(Jan bierze ją w pół i, szepcząc kilka słów, odprowadza ku drzwiom do jadalni. Gdy Zofia wyszła, zamyka drzwi od jadalni i od gabinetu. Ale wraz drzwi od jadalni odmykają się zlekka i po przez szparę miga biała suknia Zofii).*

Scena piąta.

Jan, Widełkiewicz. *(Cała rozmowa Widełkiewicza z Janem prowadzona jest głosem przytłumionym, jakby obaj nie chcieli, by ich w przyległych pokojach słyszano. Czasem tylko wybuchają głośniej pojedyncze słowa lub frazesy).*

Jan *(zamierzając sam usiąść, wskazuje krzesło Widełkiewiczowi).* Niech pan siada.

Widełkiewicz. Dziękuję panu. *(Nie siada. Jan waha się przez sekundę i nie siada również. Chwila milczenia).*

Widełkiewicz *(zbierając widocznie myśli).* Pan wie, że moja żona umarła?...

Jan. Dowiedziałem się o tem właśnie przed chwilą. Nie uwierzy pan...

Widełkiewicz *(szorstko przerywa).* Umarła pięć miesięcy temu. Ale już na długie tygodnie przed śmiercią widocznem było, że ją żre jakaś głęboka troska. Ja sądziłem, że przewiduje blizki koniec, że gnębi ją myśl opuszczenia dzieci... *(ciszej)* ...mnie... *(urywa — chwila milczenia).* Aż teraz, niedawno, porządkując pozostałe po niej rzeczy, na dnie komody znalazłem tę oto paczkę listów. *(Z bocznej kieszeni wyjmuje zwitek papierów).* Zajrzałem do nich, myśląc, że znajdę w nich jeszcze jedną pamiątkę... pamiątkę, która mi osłodzi ból... *(Pauza).* Te listy — to były listy od pana!

Jan *(porusza się, jakby chciał przeczyć).*

Widełkiewicz *(mocniej).* To były listy od pana. Choć nie podpisywałeś ich pan nazwiskiem, ja wiem... Wszelkie wątpliwości usuwają zresztą fotografie... *(Pauza).* Dopiero teraz zrobiło mi się w głowie jasno. Zrozumiałem, czemu zawdzięczałem zaszczyt tak częstych odwiedzin pańskich w moim sklepie. Bo ja przedtem myślałem zupełnie szczerze, iż pan lubi kwiaty, że... *(Urywa. Krótka pauza — silnie).* Lecz poco mówić o tem?! Wkradłeś się pan do mego domu, jak złodziej!...

Jan *(stłumionym głosem).* Panie Widełkiewicz!...

Widełkiewicz *(postępuje ku niemu krok naprzód).* Wkradłeś się pan do mego domu, jak złodziej, i dla zabawki — dla pańskiej zabawy — uwiodłeś mi żonę. Mówię: dla zabawy, bo czytałem te listy... *(Uderza pakietem o drugą dłoń).* Dla mnie, prostego człowieka, widocznem jest, żeś pan się tylko bawił! Kobieta była młoda i przystojna. Młode i przystojne kobiety są do zabawy... panów...

Jan. Panie Widełkiewicz! Ta przykra rozmowa niema celu. Co się stało, to się nie odstanie. Jestem gotów dać panu wszelką satysfakcyę.

Widełkiewicz *(nie rozumiejąc).* Satysfakcyę? Wszak pan sam mówi, że co się stało, to się nie odstanie!

Jan. Chciałem przez to powiedzieć, że jeśli pan czuje się pokrzywdzonym na honorze...

Widełkiewicz *(nie rozumiejąc)*. Ja pokrzywdzony na honorze?... A to dlaczego? Jeśli kto popełnił niegodziwość, to tylko pan.

Jan *(zniecierpliwiony)*. O cóż panu tedy chodzi?

Widełkiewicz *(z ironią)*. Pan się niecierpliwi... Przed rokiem, gdy pan zajeżdżał do sklepu wybierać kwiaty, rozmawiał pan ze mną godzinami... prawda, że i Emma tam była. *(Pauza)*. Kiedyś pan wrócił... trzy tygodnie temu... ja już wiedziałem. Bałem się wtedy przyjść do pana, tak bałem się, bom nie był pewny siebie... Czułem, że gdy pana ujrzę, krew zaleje mi oczy i gotówem dopuścić się nieszczęścia... Lękałem się tego... ze względu na me dzieci!... przeczekałem... Ale mówiłem sobie: skoro się uspokoję, skoro będę mógł przytomnie spojrzeć w oczy temu, co mi żonę zbezcześcił, co mi pamięć kobiety drogiej pokalał, to przynajmniej po chłopsku zrachuję mu kości!... *(Zaciska pięści i posuwa się ku Janowi, który mimo woli się cofa. Z pogardliwym półuśmiechem)*. Niech się pan nie trwoży. Zaniechałem. Zobaczyłem pańską młodą żonę... ona przeczuła niebezpieczeństwo... bała się odejść... nie chciała zostawić nas samych. *(Pauza)*. Poco ona ma wiedzieć? poco mam niszczyć jej szczęście?... Ona panu z pewnością ufa tak, jak ja ufałem mej żonie. *(Silniej)*. Jeśli wychodzisz pan dzisiaj cało z rąk moich...

Jan *(postępuje w uniesieniu ku niemu)*. Panie Widełkiewicz! Cierpliwość moja wyczerpała się. Mów pan, czego chcesz, albo...

Widełkiewicz *(posuwa się również naprzód — wyzywająco)*. Albo?! *(Stoją przez chwilę naprzeciw siebie w uniesieniu)*.

Jan. Krótko i węzłowato: powiedz, czego pan żądasz?

Widełkiewicz *(wskazuje na trzymane w ręku listy)*. Pańskie listy są odpowiedziami na listy mej żony. Żądam ich zwrotu.

Jan. Spaliłem je przed ślubem.

Widełkiewicz *(zaślepiony)*. Ja nie chcę, by dowód mej hańby błąkał się po ludziach. Zwróć mi pan listy. Oto pańskie! *(Podaje Janowi gwałtownym ruchem zwitek. Ten bezwiednie bierze. W jednem ręku trzyma listy, w drugiem fotografię, o której nie pamięta)*.

Jan. Powiedziałem, że ich nie mam. Spaliłem.

Widełkiewicz *(zaślepiony)*. Ona nie spaliła. Dlaczego pan miał je spalić? Ja nie pozwolę, by takie pamiątki pozostały w pańskich rękach?

Jan. Daję panu słowo honoru!...

Widełkiewicz *(gwałtownie)*. Nie znam pańskiego honoru! Pański honor pozwalał uwodzić mi żonę... Złodziej, gdy kradnie, naraża się na kryminał, choć kradnie czasem... z głodu. Pan kradłeś mi żonę i szczęście, dla zabawy, nie narażając się na nic. Jesteś podlejszy od zwykłego złodzieja!

Jan. Milcz pan!

Widełkiewicz *(rzuca się ku niemu)*. To pan milcz! *(W drzwiach od jadalnego pokoju ukazuje się Zofia i biegnie ku mężowi)*.

Scena szósta.

Ciż, Zofia.

Zofia. Jasiu! *(Widełkiewicz zatrzymuje się bezradny, ciężko dysząc. Zofia staje przy boku męża)*.

Jan *(głosem drżącym z rozstroju, cały wysoce zdenerwowany)*. To nic, moja droga! proszę cię, zostaw nas. *(Pauza. Widełkiewicz, który cofnął się w głąb kilka kroków, zbliża się do palmy i machinalnie wyrywa kilka suchych listków)*.

Widełkiewicz *(głucho)*. Skoro pan niema tych papierów... *(do Zofii)*. Przepraszam panią bardzo... *(Widełkiewicz szuka kapelusza, odnajduje go na krześle, kłania się Zofii, zabiera się do wyjścia. Myli się jednakże i, zamiast iść ku drzwiom wchodowym, kieruje się w stronę drzwi od gabinetu. Gdy idzie tak w stronę Jana, Zofia przerażona chwyta męża za ramię)*.

Zofia. Jasiu! *(Jan upuszcza listy, które rozsypują się. Widełkiewicz szybkiem spojrzeniem mierzy Zofię)*.

Widełkiewicz *(na stronie)*. Jego listy! *(Widełkiewicz w obawie, by Zofia nie podjęła listów, schyla się i wraz z Janem poczynają je zbierać. Zofia śledzi wszystkie ich ruchy. Wreszcie podnoszą się obaj. Widełkiewicz podaje zebrane przez się listy Janowi. Temu trzęsą się ręce z rozdrażnienia i biorąc od Widełkiewicza listy, upuszcza fotografię, którą trzymał w ręku. Widełkiewicz schyla się, by ją podnieść. Lecz Zofia bojąc się, by jej nie zobaczył, rzuca się również do fotografii. Widełkiewicz podnosi ją pierwszy. Zofia chce mu ją gwałtownie wyrwać, on, sądząc, że to fotografia, należąca do listów, nie chce jej dać, usuwa rękę i podaje ją szybkim ruchem Janowi. Ale mimo woli spogląda na fotografię, zatrzymuje się, cofa rękę)*.

Widełkiewicz *(chrapliwie)*. Co?! fotografia mojej żony!... *(Pauza)*. Jej tam w pakiecie nie było! *(Chwila milczenia — oryentując się)*. Pan miałeś przedtem w ręku... *(Pauza)*. Wszedłeś z nią... *(Pauza. Zwraca oczy na Zofię)*, A pani nie chciałaś bym zobaczył... *(Pauza. Nagle)*. Więc pani wiedziałaś!... *(Milczenie)*. Państwo się bawili... fotografią matki moich dzieci!?... *(Patrzy na nich w ponurem milczeniu. Zofia wysuwa się zlekka przed męża, jakby pragnąc go osłonić. Oczy ma spuszczone)*..

Widełkiewicz *(waha się, walczy ze sobą, wreszcie spluwa)*. Tfu!... brudy!... *(Rozgląda się po pokoju. Oryentuje się, gdzie są właściwe drzwi, kładzie kapelusz na głowę i wychodzi ciężkim krokiem)*.

Scena siódma.

Zofia, Jan. *(Zofia śledzi wzrokiem za Widełkiewiczem. Gdy drzwi się za nim zamknęły, odsuwa się od Jana i pada na najbliższy fotel. Jan zmieszany spogląda na nią, spuszcza oczy. Tak mija kilka chwil w milczeniu).*

Jan *(nieśmiało).* Zosiu! *(Zofia odwraca głowę, kryje ją w dłoniach i nagle wybucha łkaniem. Jan rzuca się ku niej, bierze ją za rękę, ona wybucha głośnym, nerwowym płaczem, wyrywa rękę, wstaje i łkając ucieka do jadalni. Jan zostaje sam, prawie na środku sceny, nie wiedząc, co z sobą robić. Wchodzi Henryk).*

Scena ósma.

Jan, Henryk.

Henryk *(nie spostrzegając wyrazu twarzy Jana, mówi wesoło).* Jestem gotów. Więc jedziemy.

(Kurtyna wolno spada).



TREŚĆ.